

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 11 (29)

Jerozolima, 1 czerwca 1944 r.

Rok II

W numerze:

L. Roth: Jakie są cele wykształcenia uniwersyteckiego? — M. Kuncewiczowa: O uczeiwy bilans. — J. Larren-Lenczowski: Wyprawa Anglików do Baku. — L. Kurdybacha: Tesknota, wspomnienia, czy przyszłość? — A. Mrowiec: Nasz Śląsk Opolski. — K. Grzybowski: Kryzys prawa narodów. Przyczyny rozkładu. — A. Ciołkosz: Święto majowe w Polsce. — Kronika polska. — J. Toeplitz: Problem kauczuku syntetycznego. — A. Drwęska: Wizja malarska. Sielanka. — em.: Wystawa malarek polskich. — Z. Kowalewski: Wystawa grafiki angielskiej. — Fakty i komentarze. — Ideowa klęska młodzieży włoskiej. — H. S. Dominik: Opinie angielskie. — J. Martyka: Kronika filmowa. Dzieci Europy. — ww.: Przegląd polityczny. — mg.: Co ma przynieść zwycięstwo

POLACY NA MONTE CASSINO



Panorama Monte Cassino. — Na górze widoczne mury opactwa (przed zbombardowaniem)



Wśród gruzów domostw na stokach Monte Cassino



Polska artyleria przeciwlotnicza na stanowisku



Transport zaopatrzenia w drodze na pozycję

DEPEZA

GEN. HAROLDA ALEXANDRA

Dowódca Korpusu Polskiego, wchodzącego w skład VIII Armii, gen. Anders otrzymał od głównodowodzącego siłami Sprzymierzonych na froncie włoskim, gen. Harolda Alexandra, za pośrednictwem gen. Leese'a, dowódcy VIII Armii, depeszę gratulacyjną z okazji zdobycia Monte Cassino, która brzmi:

„BĘDĘ PANU Wdzięczny, jeśli pan zechce wyrazić generałowi Andersowi moje najwyższe uznanie i gratulacje z powodu wspaniałych wartości bojowych i wytrzymałości ujawnionych przez żołnierzy polskich w walkach, które doprowadziły do zdobycia twierdzy, uważanej przez Niemców za nie do zdobycia. Dzień ten jest dniem chwały dla Polski, ja zaś ze swej strony salutuję flagę polską, która dumnie powiewa na twierdzy-klasztorze“.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

MONTE CASSINO

Nasze granice naszli zniemacka,
słupy graniczne zewsząd zrabali...
Idzie Kresowa, idzie Karpacka,
w dymie eksplozji, w huku batalji.

Nasze granice?... — trzeba ich szukać
w rytmie kaemów, w chrzęście pancerzy.
My już to wiemy, stara nauka
polskich tułaczy, polskich żołnierzy.

Idzie Karpacka, idzie Kresowa,
wałą armaty, trzeszczą spandauy.
Tu nam nie ujdzie, tu się nie schowa
wroć, uzbrojony w broń doskonałą.

Idzie Kresowa, idzie Karpacka,
każdą bojową chrzęszcząc maszyną.
My was znajdziemy, choć poomacku,
w Monte Cassino! W Monte Casino!

Padnie nas wielu w pięknej Italii,
żywi umarłych grzebmy i liczymy,
potem pójdziemy dalej i dalej
stawiać, przestawiać słupy graniczne.

Nasze granice? — „póki żyjemy“,
wszędzie gdzie nasi walczą i giną.
Gniewnie idziemy, krwawo idziemy,
nasze granice w Monte Cassino.

ROZKAZ

NACZELNEGO WODZA

„ŻOŁNIERZE POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH W KRAJU
I NA OBCYZYNIE! NASZA MYŚL WZRUSZONA BIEGNIJE
NA FRONT WŁOSKI, GDZIE II KORPUS OKRYŁ IMIĘ
POLSKI SŁAWĄ NIEPRZEMIJAJĄCĄ I DODAŁ ŚWIET-
NYCH BLASKÓW DZIEJOM ORĘŻA POLSKIEGO. CHWAŁA
ZWYCIĘZCOM SPOD CASSINO! NIE ZARDZEWIAŁ MIECZ
POLSKI, LECZ LŚNI JEGO OSTRZE W SŁOŃCU HISTORII,
KTÓRA PISZE WYROKI LUDZIOM I NARODOM. ŻOŁNIERZE
POLSCY, GDZIEKOLWIEK JESTESCIE, UCZUJCIE
CHWILĄ MILCZENIA PAMIĘĆ POLEGŁYCH W TEJ
WIELKIEJ BITWIE, A NA CZĘŚĆ ŻYWYCH WZNIEŚCIE
TRZYKROTNY OKRZYK: „NIECH ŻYJĄ!“ ROZKAZ PO-
WYŻSZY ODCZYTAĆ PRZED FRONTEM ODDZIAŁÓW, NA
POKLADACH OKRĘTÓW R.P. I W DYWIZJONACH LOT-
NICZYCH. LONDYN 19 MAJA 1944 — SOSNKOWSKI“.

LEON ROTH

Jakie są cele wykształcenia uniwersyteckiego? *

Na pytanie: jaki jest cel wykształcenia uniwersyteckiego — oczywiście odpowiedzią będzie: aby dać dobrych zawodowców. Istnieje wiele zawodów i każdy z nich wymaga specjalnego wykształcenia, którego nie może nam dać szkoła powszechna czy średnia z tej prostej przyczyny, że uczeń tych szkół nie ma po temu dostatecznego przygotowania. Rodzi się więc potrzeba wyższej uczelni, czyli uniwersytetu — potrzeba istotna i usprawiedliwiona. Jedna rzecz jest jasna w tym niejasnym świecie, że wiedza jest pożyteczna. Nie jest ona wszechpotężna, nie jest nawet tak potężna, jak to się ogólnie przypuszcza. Ale służy nam pomocą, jest pożyteczna, ma swoje znaczenie. Człowiek z wykształceniem ma wyższą wartość dla społeczeństwa, dla swego pracodawcy, dla siebie samego wreszcie, aniżeli człowiek bez wykształcenia. Człowiek z uniwersyteckim wykształceniem to człowiek, który zdobył wiedzę, a co najmniej, który jest za takiego uważany. Wątpliwości powstają w momencie, gdy zapytamy: jaką wiedzę.

Zgodnie z rozwojem historycznym zwykliśmy łączyć pojęcie nauk uniwersyteckich tylko z pewnymi określonymi gałęziami wiedzy. I oto razi nas, gdy słyszymy, że dziś i inne gałęzie wiedzy roszczą sobie pretensje, ba, nawet są już przyjęte w poczet nauk uniwersyteckich. Przyznaję, iż byłem nieco zgorszony, zwiędając w Harvard w Stanach Zjednoczonych wspaniałe budynki, goszczące w swych murach uniwersytecką szkołę „handlową”. Chodzą słuchy, iż nasi postępowi sojusznicy zaoceniczni mają na swych uniwersytetach wydziały nie tylko handlu, ale i kosmetyki, a nawet — jeśli nie zostaną wprowadzony w błąd — prania bielizny. Jeżeli przyjmujemy, że uniwersytet jest szkołą wyższej wiedzy, wiedzy jakiegokolwiek, nie ma tu powodu do zgorznięcia. Każda dziedzina może być przedmiotem badań naukowych: równie dobrze teologia, jak chemia. Jeżeli zaś chemia jest równie godnym przedmiotem studiów, co i teologia, dlaczegożby kosmetyka miała być czymś gorszym od chemii? A wreszcie — wołają ci panowie z tryumfem — czyż studium teologiczne nie ma na celu przygotowania dobrego zawodowca, mianowicie duchownego? Jeśliżby kosmetyka była zawodem w średnich wiekach, — w tym właśnie czasie, gdy uniwersytety powstawały, możemy śmiało przypuszczać, iż mogłyby i wtedy istnieć tytuły doktora kosmetyki. Jeżeli więc: teologia, medycyna i prawo, czyli opieka roztoczona nad duszą, ciałem i prawami człowieka (względnie klienta) — są uprawnionymi przedmiotami studiów uniwersyteckich, dlaczegożby nie kosmetyka, czyli dbałość o piękno skóry ludzkiej?

Jak widzimy, zostaliśmy doprowadzeni do absurdu. Albo więc uznajemy doktora kosmetyki, albo coś nie jest w porządku w naszym rozumowaniu. Jestem przekonany, że coś nie jest w porządku z naszym rozumowaniem, że uniwersytet jest nie tylko o szkołą zawodową i że nie każdy przedmiot nadaje się do studiów uniwersyteckich. Właściwymi przedmiotami badań uniwersyteckich są te, które — rozległe same w sobie — służą do poszerzania horyzontów. Uniwersytet jest miejscem, które poza wykształceniem daje jeszcze coś innego. Tym czymś innym — jeśli wolno mi być tajemniczym — jest wizja wszechświata. Pod mianem przedmiotów rozległych i służących do poszerzania naszych horyzontów mam na myśli te, które pozwalają nam uchwycić zasady, dają wgląd w całość. Uniwersytet to jest takie miejsce, gdzie obok studiów w pewnej, wybranej dziedzinie, — uczymy się znajdować coś, co ma znaczenie uniwersalne.

Czy wolno mi przypomnieć powiedzenie Pascala, który narzeka, że „matematycy są tylko matematykami”?^{*)} Pascal uważał, iż są oni wtedy równie kiepskimi matematykami, jak i niezadowolającymi przedstawicielami rodu ludzkiego. My zaś możemy to samo powiedzieć o chemiku, który jest tylko chemikiem, to samo o filologu, który jest tylko filologiem, o kosmetyku, który jest tylko kosmetykiem, krótko mówiąc, o każdym kto jest tylko specjalistą, kto się wykształcił na człowieka rutyny, sprowadził siebie samego do roli owego zębka w zębatym kole maszynierii. Rozwój jego wiedzy idzie w górę, ale nie wszędy. Zacieśnia on swój umysł tak bardzo, że rozwój jego ma tylko jeden wymiar: głębi, a stracił szerokość. Według znanego określenia wie on „coraz więcej, więcej i więcej o czymś coraz mniejszym, mniejszym i mniejszym”. Z czasem staje się on krótkowidzem, człowiekiem z białym okiem, a w ostateczności — ślepcem.

Po cóż się tym przejmować? — powiecie zniecierpliwieni. Dlaczegożby nie miał być człowiek tylko specjalistą, skoro ma na to ochotę. Przeciwnie, trzeba nam właśnie specjalistów. Jesteśmy ludźmi interesu i poszukujemy ludzi, chcących pracować dla nas, siedzieć w naszych laboratoriach, chcących rachować, wykonywujących nowe sposoby

produkcji i ułatwiających nam zbijanie majątku. Już słyszę okrzyk: „Niech żyje ów specjalista. Im bardziej jest on ślepy, tym lepiej!” Czyżby? Wydaje mi się, że nie macie państwo racji nawet ze swego własnego punktu widzenia. Oto dlaczego: jeśli nawet zbijasz majątek, to zawsze ktoś zza węgla czyha na to, aby sobie także nim napchać kieszenie.

MARIA KUNCEWICZOWA

O UCZCIWY BILANS

Bardzo niewielu Polaków w tej wojnie może pracować dla jutra. Ciężar dnia dzisiejszego jest tak olbrzymi nad Polską, że życie w kraju porównać można do nieustannego wysiłku atlety, o mięśniach i nerwach sprężonych do ostateczności. W tej sytuacji wielkim osiągnięciem jest samo oddychanie, funkcje zaś takie jak myślenie o przyszłości wkraczają już w sferę bohaterstwa.

Polacy poza zasięgiem wroga są stosunkowo nieliczni. Oprócz zadań wojskowych wyrastają przed nimi co chwila skomplikowane problemy polityki międzynarodowej, informacji i propagandy, do których przeważnie nie są przygotowani. Ci również rzadko pracują dla jutra, zaprzęgnięci doraźnymi reakcjami na przemijające zjawiska.

Tymczasem jutro piętrzy się przed nami, nieuniknione i groźne. Nie da się zażegnać ani bohaterstwem, ani improwizacją. Żąda rozsądku i pracy. Żąda charakteru.

Wskutek fatalnej koniunktury politycznej braku wychowania w Polsce były olbrzymie w ciągu ostatnich wieków i dwadzieścia lat niepodległości wsiątko w pustynię tych niedoborów jak jedna beścilna kropla. Cudzoziemcom, wysuwającym zarzuty przeciw charakterowi polskiemu, łatwo jest odpowiadać, cytując opory historii, która tak nierównymi szansami obdzieliła narody. Ale okoliczności łagodzące, o ile mają swą wymowę przed Bogiem, rzadko mają ją przed ludźmi, a najbardziej w obliczu współczesnych partnerów i kontrahentów. Zresztą cokolwiek dążyć się powiedzieć na usprawiedliwienie np. polskiej nieumiejętności zespołowego działania (tak często i tak niesłusznie interpretowanej jako indywidualizm), nie uchroni to nas samych przed złowrogimi skutkami tej wady. Nawet jeśli uda się nam wywalczyć poprawę sytuacji naszego narodu w świecie, a także wykonać plan najdoskonalszych reform społecznych i politycznych na wewnętrznym polu, nasz rozwój nie pójdzie w górę, o ile Polacy — jako jednostki i jako społeczeństwo — nie okażą się zdolni do codziennych, zorganizowanych wysiłków konstruktywnych.

Aby taką zdolność w sobie wyrobić, trzeba — wypróbowanym przez chrześcijaństwo sposobem — zacząć od trzeźwej autoanalizy, czyli od rachunku sumienia. Pokora jest cnotą heroiczną, dostępną bodaj tylko świętym, wysoce niepopularną wśród patriotów. Tym nie mniej właśnie patriotci, w interesie ambicji narodowej, powinni się zdecydować na praktykowanie trzeźwości, która jest cywilnym odpowiednikiem cnoty anielskiej, pokory. Trzeźwości wobec samych siebie i swoich ojczyzn. Bez uczciwego bowiem bilansu cech narodowych nie zdołamy nigdy usprawnić mózgów i serc na tyle, by uzyskać miejsce poczesne w konkurencji narodów.

Na emigracji nie wiele widać skłonności do uczciwej buchalterii polskich osiągnięć i predyspozycji. Nie dziwne to. Tesknota nasza jest magicznym kosmetykiem spraw i ludzi dalekich. Komplex niższości, tak naturalny u wydziedziczonych, domaga się kompensaty w mitach i snach o potęgę. Wielki nawiał materiału porównawczego, wynikający z niechcianego globtrotterswa, zmusza do pracy intelektu i wyobraźni, wstrętnej dla zmęczonych, którzy — w ucieczce przed nią — chronią się do ghetta. Wszystko to jest wysoce zrozumiałe. Ale i rzecz inną należy zrozumieć. Należy zrozumieć, że okazja konfrontacji wartości własnych z zagranicznymi jest jedyną bodaj, uchwytą już dzisiaj, szansą wychowawczą narodu polskiego w latach 1939-44. Nie sądzimy, że w Kraju nie dokonywuje się ta konfrontacja. Niemcy, miażdżąc Polskę przewagą swojej organizacji (bo właściwie do problemów organizacji zaliczyć trzeba i kwestie przewidywania, i dar taktyczny, i szantaże t. zw. „ideologii”). wy-

Raczej nie, gorzej jeszcze. Dziś ten ktoś wcale już nie czyha zza węgla, tylko po prostu z trzaskiem wchodzi do twego domu. Zagarnia nie tylko twój majątek, specjalistów także. A ponieważ zgodziliśmy się na szkolenie ich według twojej recepty — nie zdają oni sobie sprawy z tego, jakiej sprawie służą. Nasza cywilizacja (a wraz z nią

ciskają ze świadomości narodowej Polaków wskazania na dziś i na jutro. Doświadczenia, jakie płyną ze zmagań z sąsiadami, są chlebem codziennym naszej historii od kilku setek lat. Kto wie, czy ich bezowocność nie wynika z ich partykularizmu, z braku synchronizacji między nimi a doświadczeniami Zachodu.

W okresie, przeżywanym obecnie, około stu tysięcy Polaków z najróżniejszych środowisk zostało przez los wydelegowanych na Zachód. Kraj, któryby w czasie pokoju potrafił wysłać za granicę tylu stypendystów, byłby uważany za Krezusa między narodami. Tymczasem t. zw. uchodźcy, czy emigranci (zarówno cywilni jak wojskowi) są dziś stypendystami Polski w najdosłowniejszym sensie, skoro żyją niemal wszyscy na koszt — materialny czy moralny — naszego państwa. A wojna na obczyźnie, wbrew pozorom, nie jest gorszym uniwersytetem, niż studia pokojowe. Podczas pokoju społeczeństwa zachodnie wykazują większą ekskluzywność niż podczas wojny, kiedy alianci bywają dopuszczani do takich kręgów życia, które zazwyczaj zazdrośnie są przed obcymi strzeżone. Pod naporem wspólnego nieszczęścia rozwiązują się języki, pycha narodowa słabnie, ciekawość odmiennych norm i reakcji wzrasta. Żaden przecież wykład na temat zagranicy nie dorówna kwadransowi rozmowy z cudzoziemcem.

Zatem sposobności do obserwacji, do porównań, do — prywatnego i narodowego — rachunku sumienia, do uczciwych wniosków z historii i do pracy nad sobą — mają dziś Polacy więcej niż kiedykolwiek. Wbrew wszelkim niechęciom, do korzystania z niej są bezwzględnie obowiązani, tak samo jak do służby w wojsku.

Ze obowiązku ten wyczuwany jest coraz powszechniej, widać z licznych inicjatyw samokształceniowych, z wysiłków obecnego Ministerstwa Oświaty, z działalności czynników oświatowych w armii. Nigdy jednak program pracy nad charakterem narodowym nie został sformułowany tak konkretnie, jak w załączonej odezwie ludzi, podtrzymujących w Edynburgu tradycję Krakowskiego Klubu Dyskusyjnego „Krag”^{*)}.

Ludzie ci, rekrutujący się z kół Polskiego Fakultetu Medycznego w Edynburgu i z grupy ich przyjaciół, to przeważnie przyrodnicy i lekarze. Lekarze nie tylko naukowcy, ale i praktycy, rozporządzający warsztatem doświadczalnym w postaci Szpitala im. Paderewskiego.

Każdy, kto zetknął się choć przelotnie z jakimkolwiek szpitalem, zdaje sobie sprawę, jak znakomitym polem obserwacji charakterów jest dom, napelniony chorymi. Cechy indywidualne i zespołowe występują tam, pod wpływem fizycznej słabości, w czystej niemal postaci. Pod obuchem cierpienia chorych stają się pasjonatami, flegmatycy popadają w marazm. Ale bywa też i inaczej. Podobnie jak organizm posiada ukryte rezerwy siły, które dochodzą do głosu, gdy śmierć sięga po zmęczone ciało, tak samo duch ludzki, skonfrontowany z wiecznością, zdobywa się na dramatyczne wysiłki i nieraz w godzinie konania odnajduje prawdę o życiu.

Przyrodnicy, psychologowie, skrzętni obserwatorzy życia, zarówno jak myślicy, wrażliwi lekarze, nie mniej od zawodowych wychowawców, powołani są do pracy nad charakterem narodu. Ich odezwa nie powinna minąć bez echa. Do znanych rezerw polskiego organizmu narodowego i polskiego ducha należy dar przetwarzania — w czarnych godzinach losu — chronicznych wad na zalety. Do tego daru sięgnijmy teraz, aby budować jutro dla braci, którzy ponoszą za nas straszliwy ciężar teźniejszości.

*) Tekst programu tego wydrukujemy po o-
trzymaniu (Red).

i w y) upada, załamuje się na naszych oczach i jedną z głównych przyczyn tego jest przesunięcie inteligencji zawodowej w kierunku laboratoriów i biur, oraz utrata przez nią kontaktu ze sprawami społecznymi i brak zrozumienia dla tych spraw. Uniwersytety pogodziły się, niestety, z tym stanem rzeczy. Naprzód umieściły nauki przyrodnicze na tym samym poziomie co i nauki humanistyczne i uznały ich równoważność, poczem wiodły przyrodniczą rozczołkowano na drobniejsze działy, z których każdemu przyznano tę samą wagę; i to samo uczyniono z humanistyką. I w ten sposób nasze studia humanistyczne stały się raczej kursami dla korespondentów handlowych, a wydziały przyrodnicze służyły jako warsztaty, w których terminują pracownicy laboratoryjni. Bierzymy pod swą opiekę obiecujących młodzieńców, pozbawiamy ich zainteresowań intelektualnych — poczem „wręczamy” ich państwu, jako chemików tylko, buchalterów tylko, tłumaczy tylko, niewolników biurowych, laboratoryjnych, czyli t. zw. rzeczoznawców. Są oni tak kompletnie zaskorupiali w swych określonych specjalnościach, że nie potrafia już się z nich wyrwać. Jeżeli nawet uda im się jakimś cudem uciec z tego ogrodu, wyrwawszy się, tracą zupełnie orientację. Wynik jest oczywisty, widzimy go w tym groźnym zjawisku, że owi pracownicy stają się bezwolnymi narzędziami w ręku nie tylko przedsiębiorców, ale i o ileż niebezpieczniejszych życiowych „Hitlerów”, którzy znają ich użyteczność i wykorzystują ich jak najbardziej, t. zn. jak najgorzej. Specjalizacja może być — i myślę, że jest — technologiczną koniecznością, ale okazała się groźbą pod względem społecznym i przekleństwem życia politycznego.

Jakie jest na to lekarstwo? Jeżeli cywilizacja załamała się, to dlatego, że inteligencja została odcięta od problemów ogólnych. Musimy dołożyć starań, aby kształcenie inteligencji skierowano z powrotem ku tym problemom ogólnym. A jeśli nasi specjaliści stali się zbyt pochopnie narzędziami w rękach „dyktatorów”, trzeba w nich rozbudzić świadomość odpowiedzialności społecznej. Pierwszym obowiązkiem cywilizacyjnym Uniwersytetu jest wynealenie sposobu obrony przed tym potworem, któregośmy sami wyhodowali. A potworem tym jest rozbrat między wiedzą a życiem, które trzeba czym prędzej z powrotem skojarzyć. W potocznym żargonie uniwersyteckim można by wyrazić w jakiejś utartej formule. Można np. powiedzieć, że nie powinno być programów uniwersyteckich nauk ścisłych, któreby nie miały odpowiedniej humanistycznej podstawy. Można jeszcze powiedzieć, że w dziedzinie nauk humanistycznych niektóre dyscypliny są bardziej humanistyczne i dlatego mają wchodzić w skład każdego wykształcenia, także i humanistycznego. Można powiedzieć, iż t. zw. „badania naukowe” są bożyszczem, które należałoby obalić, albo przynajmniej uznać, iż jest bożyszczem.

Wszystko to jednak nie dotyczy jeszcze sedna rzeczy, a sednem tym jest, że kształcimy dla wiedzy a nie dla mądrości, dla ekspertyzy a nie dla rozumienia. Tymczasem trzeba nam dla naprawienia świata tej orientacji w ogólnych problemach, którą nazywamy mądrością, nie zaś wiedzą jeszcze kilku nowych faktów i zwiększonej umiejętności w ich manipulowaniu. Trzeba nam spontaniczności, jasności myślenia, inicjatywy; zdolności ujęcia całości a nie dobrowolnej ślepoty specjalistów. Ktoś próbował określić ogólne wykształcenie jako to, co pozostaje wtedy, kiedy człowiek już wszystkiego, czego się nauczył, zapomniał, gdy w ogóle wszystko mu już z głowy wywietrzało. Albo inna definicja, która mi się również podoba: jest to zdolność wykonania czegoś, czegoś się nigdy przedtem nie robiło. Lecz ta definicja nie dotyczy specjalisty: nauczył się on dokładnie jednej rzeczy i tylko w tym ciasnym obrębie umie się poruszać. Wykuł to gruntownie i oczywiście nigdy mu to już z głowy nie wywietrzeje, ale taka gruntowność i dokładna pamięć — to prawdziwe przekleństwo. Można znaleźć w Jerozolimie egzemplarz niemieckiego Baedekera po Polsce, datowany z 1943 r., w którym przewodnik opisuje Polskę „obiektywnie i naukowo” z całą dokładnością — iście baedekerską — tak jak gdyby nie nie zaszło i nie zachodziło. Oto klasyczny przykład dzieła specjalisty. Posadzone go do tego zadania, więc wykona je skrupulatnie, nie troszcząc się bynajmniej o sens swej pracy, ani o to, czemu ona służy. Jest on ślepy na cele i zasady. Dostrzega on tylko środki. Środki, którymi zbyt często ktoś inny posługuje się dla swych brudnych celów.

Oto wszystko, co chciałem powiedzieć. Zadaniem Uniwersytetu jest wykształcić człowieka, który będzie nie tylko wiedział, ale i rozumiał, który zainteresowany będzie nie tylko technicznymi szczegółami nauki i swego zawodu, ale także ogólnymi problemami ludzkości. Czy wolno mi zacytować słowa filozofa, które z pewnością państwo znają:

„Ten, kto nie dość rozmyślał o Bogu, o umyśle ludzkim i o summum bonum — może będzie świetnie prosperującą glistą, ale napewno będzie żalosnym patriotą i żalosnym mężem stanu”.

Tłumaczyła Z. L.

W najbliższych numerach „W Drodze”
zamieścimy następujące reportaże z Włoch:

JERZEGO BAZAREWSKIEGO,
WŁADYSŁAWA CHOMY,
ANTONIEGO DRWĘSKIEGO,

Eviva la guerra;
Gimnazjum Karpackiej we Włoszech;
Z Włoch.

*) Przemówienie, wygłoszone na jednym z ostatnich zebrań Klubu Rotarystów w Jerozolimie. Autor jest profesorem filozofii Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie.

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

WYPRAWA ANGLIKÓW DO BAKU

„Brytyjski generał na morzu Kaspijskim, jedynym nie zoranym dotychczas przez brytyjskie kile, na pokładzie statku, noszącym nazwę południowo-afrykańskiego holenderskiego prezydenta i niedawno jeszcze nieprzyjaciela, płynący z perskiego portu pod serbską flagą, celem oswobodzenia od Turków grupy Armeńczyków w rewolucyjnym mieście rosyjskim.“ Słowa te zostały wypowiedziane przez generała Lionela Dunsterville'a na łamach książki, będącej pamiątkiem tej niezwykle wyprawy: „The Adventures of Dunsterforce“.

W historii nie ma sytuacji identycznych. Tym niemniej obfituje ona w wydarzenia, których analogia każe się nieraz zastanowić nad prawami lub koniecznościami, jakie rządzą wolą ludzką w pewnych przypadkach. Ta właśnie okoliczność skłania nas przede wszystkim do przypomnienia tego niezwykle interesującego epizodu z ubiegłej wojny, którego barwność jest nie mniej charakterystyczna od faktu, iż głównymi jego bohaterami są mieszkańcy dalekiej, mglistej wyspy mórz północnych.

Rzecz, której opis nastąpi, miała miejsce w r. 1918. Dla pełniejszego zrozumienia jej, należy sobie uprzytomnić sytuację, jaka panowała na froncie południowo-wschodnim u progu czwartego roku wojny. Zwycięstwa wojsk ekspedycyjnych na jesieni r. 1917 w Mezopotamii szły w parze z dezorganizacją odcinka rosyjskiego w Transkaukazji i Persji. Odcinek ten był bowiem wówczas jednym z najdziwniejszych frontów. Rosjanie, którzy od samego początku wojny pogwalcili wspólnie z Turkami neutralność Persji, walcząc z nimi na drodze Kazwin-Hamadan-Kermanszach, zdołali do końca 1917 r. utrzymać tę drogę w swym posiadaniu. W tym samym jednak czasie wojska tureckie posuwały się bez większych przeszkód po inne drogi, idące równolegle do pierwszej, a położonej o jakieś 100 mil od niej na północ. Sytuacja ta była i paradoksalna, i niebezpieczna dla Aliantów, gdyż w niektórych miejscach Turcy nie mieli naprzeciw siebie żadnego przeciwnika, w innych zaś mieli topniejące oddziały rosyjskie w stanie rewolucyjnego rozkładu. W tym stanie rzeczy cała przestrzeń frontu od Khanakinu do Tyflisu była trzymana właściwie „na słowo honoru“ i należy przede wszystkim przypisać niedołęstwo dowództwa tureckiego, iż tej sytuacji nie wykorzystało szybko. Wystarczała tylko szybka i zdecydowana akcja niemiecko-turecka w pasie Kaukaz — północna Persja, by nieprzyjacieli znalazł się w Transkaspji, u wrót Afganistanu, a tym samym u wrót Indii. Stąd też koniecznym było podjąć szybko akcję zapobiegawczą. Anglikom brakło tam jednak wojska. Na początku wojny Angley i Rosjanie podzieliли między siebie rolę obrony północnego i południowego odcinka frontu, a obecnie przez fakt rozkładu wojsk rosyjskich stanęło przed Anglikami zadanie obrony nowych 450 mil linii północnej.

W tych warunkach należało się uciec do fortelu. Dowództwo brytyjskie w Bagdadzie postanowiło wysłać do Tyflisu jedynie misję wojskową, której zadaniem miało być stworzenie lokalnej armii, złożonej z Ormian, Gruzinów i — częściowo — Rosjan. Liczono na lokalny patriotyzm tych elementów narodowościowych i ich tradycyjną nienawiść do Turków. Rola misji angielskiej polegałaby na zorganizowaniu, wyszkoleniu i faktycznym dowodzeniu tą armią. Wykonanie tego zadania zostało powierzone gen. L. Dunsterville'emu).

Dunsterville przybył do Bagdadu z Indii w styczniu 1918 r. i stanął od razu wobec ogromnych trudności. Polegały one przede wszystkim na braku personelu, który bardzo powoli zbierał się w Mezopotamii, po drugie zaś na olbrzymiej odległości, jaka go dzieliła od Tyflisu, celu wyprawy.

Ostatecznie skład misji przedstawiał się następująco: 14 oficerów, plus 41 szoferów wojskowych, plus 41 ciężarówek marki Ford. „Siła“ ta wyruszyła z Bagdadu 27 stycznia 1918 r.

Misja Dunsterville'a (nazwana później oficjalnie „Dunsterforce“) minęła na przełęczy Tak-i-Givi, dzielącej Mezopotamię od Persji, ostatni posterunek brytyjski i znalazła się w kraju, kryjącym wiele niebezpieczeństw i zagadek. Przybywszy 3 lutego do Kermanszachu, została ona powitana przez płk. Kenniona, miejscowego konsula brytyjskiego. Kermanszach miał jeszcze jedną miłą niespodziankę dla misji: był to stacjonowany tam od dawna pułk kozaków pod dowództwem płk. Bicerakowa. Pułk ten był wyjątkiem wśród cofających się wojsk rosyjskich, ogarniętych rewolucyjnym fermentem. Bicerakow, jego dowódca, miał wielki wpływ na swych kozaków, nie był zwolennikiem rewolucji i postanowił przeczekać niepewne czasy, współdziałając z Anglikami. Był to pierwszy sprzymierzeniec, spotkany na trudnej drodze, i to sprzymierzeniec, reprezentujący dla gen. Dunsterville'a istotną siłę.

Z Kermanszachu „Dunsterforce“ przybyła w parę dni później do Hamadanu, gdzie znów zastała dwu generałów: Offley'a i Baratowa. Gen. Offley, Anglik,

który przyjechał właśnie z Tyflisu, twierdził, że sytuacja w tym mieście nie wyglądała różowo. Ormianscy mieszkańcy Tyflisu łączyli swą obawę przed Turkami z dość wyraźną niemiecką orientacją. Liczyli oni bowiem na to, iż to nie Turcy, a Niemcy (ze względu na ich apetyty kaukaskie) zdobędą miasto i zostawią Ormian w spokoju. Ponieważ jedynym promotorem aktywnej postawy Ormian był strach przed masakrą z rąk Turków, trudno było liczyć na powodzenie misji brytyjskiej, tym bardziej, że Niemcy przez swych tajnych emisariuszy czynili Tyflisowi wiele obietnic.

Dunsterville jednak nie tracił czasu w Hamadanie i 15 lutego był już w Kazwinie, skąd miał wyruszyć przez prowincję Gilan do portu Enzeli. Odcinek drogi Kazwin — morze Kaspijskie był najniebezpieczniejszy, gdyż leżał on na terenie, podlegającym faktycznej władzy Kuczik Chana. Kuczik Chan był zaś przywódcą zbuntowanego plemienia Dżangalich. Miał on projekty reformatorskie, oparte częściowo na wzorach zachodnich, i nie był typem zwykłego bandyty. Uchodził on nawet w pewnych kołach w Persji za prawego patriotę. Do Anglików odnosił się z gruntu niechętnie, wobec zaś rewolucyjnego komitetu rosyjskiego w Enzeli (obecne Pahlewi) stosował politykę ugodową, podyktowaną raczej wymaganiami taktyki, niż prawdziwym wyznawaniem hasła komunistycznych. Dla „Dunsterforce“ przedstawiał on oczywiście niebezpieczeństwo.

Szczęśliwie jednak dla Dunsterville'a jego misja przebiegała bez przeszkód drogą gilańską. W Enzeli sytuacja przedstawiała się nad wyraz niepomyślnie. Miasto było pełne rozprzężonego wojska rosyjskiego, w sile około 2000 żołnierzy, czekającego na powrót do kraju. Władza polityczna w mieście spoczywała w rękach „Komitetu Rewolucyjnego Enzeli“ pod przewodnictwem tow. Szeliapina, młodego człowieka, byłego kancelisty jednego z biur żeglugi. W dniu przybycia gen. Dunsterville otrzymał wezwanie od Komitetu Rewolucyjnego celem stawienia się i wyjaśnienia, poco Anglicy przybyli do Enzeli. Odrożył to spotkanie na następny dzień.

Następnego dnia rano Dunsterville w towarzystwie jednego tylko oficera zjawił się w sali posiedzeń Komitetu. Komitet, jak było do przewidzenia, składał się z grupy żołnierzy, marynarzy i robotników. Szeliapin przywitał generała wyniośle i od początku postawił mu niedelikatne pytanie, jaki jest cel przybycia Anglików. Dunsterville właśnie zastanawiał się nad sformułowaniem najwłaściwszej odpowiedzi, gdy sam Szeliapin wyrzucił go, wołając, że wie on doskonale, jaki jest cel podróży Anglików, że znany jest mu cały plan tyfliski i że plany te nie idą po myśli Komitetu, który uważa je za działalność kontr-rewolucyjną. Takie postawienie sprawy zwolniło Dunsterville'a od kłopotów dalszej dyskusji i, po krótkim stwierdzeniu, iż przybył on do Enzeli jedynie w przyjaznych zamiarach, Dunsterville opuścił salę zebrań.

Po szybkim zbadaniu możliwości transportu morskiego, który okazał się beznadziejny ze względu na kontrolę żeglugi przez bolszewików, Dunsterville cicho i niepostrzeżenie opuścił ze swą misją Enzeli o świcie dnia 20 lutego, kierując się w drogę powrotną.

Tak więc ten pierwszy etap zakończył się niepowodzeniem. Odwrót wszakże był jeszcze bardziej niebezpieczny. Jednakże i tutaj generałowi świeciła szczęśliwa gwiazda i zdołał on bez większych trudności powrócić do Hamadanu. Tutaj zdecydował założyć swą kwaterę główną i czekać na taki rozwój wypadków, który mu umożliwi ponowne podjęcie próby. Nawet jednak sam pobyt w Hamadanie nie był bezpieczny, wobec możliwości ataku ze strony silnych oddziałów tureckich. Wprawdzie wielką pomocą okazał się pułk kozaków Bicerakowa, który przybył do Hamadanu 16 marca, lecz istniała obawa, iż ta eskorta szybko opuści Dunsterville'a, gdyż kozacy coraz natarczywiej domagali się od swego wodza powrotu do domów. Ostatecznie stanął układ między Dunsterville'm a Bicerakowem, mocą którego pułk, do czasu ewakuacji miał być utrzymywany za pieniądze angielskie i miał być lada tydzień zluźniony przez posiłki brytyjskie z Mezopotamii. W ten sposób Dunsterville grał na zwłokę przez prawie 10 tygodni, powodując tym samym, iż w oczach Kuczika Chana kozacy stali się aliantem Anglików.

W kwietniu przybyły wreszcie nieduże posiłki z Mezopotamii. W tymże miesiącu odwiedził go emisariusz ormiański z Baku, zachęcając do przybycia nie do Tyflisu, który miał lada dzień upaść, lecz do Baku i do zorganizowania tamże oporu. Sprawa była paląca, gdyż Turcy, operując propagandą, zdołali utworzyć pomocniczą armię, złożoną z muzuluńskich elementów Kaukazu i Transkaukazji.

Słowa emisariusza potwierdziły się, gdy 1 maja doszła do Hamadanu wiadomość, iż Turcy opanowali Tabryz. Sytuacja wyglądała wręcz rozpaczliwie nie tylko dla Baku, ale i dla bezpieczeństwa drogi Khanakin-Kazwin. Fakt, że dotychczas Turcy nie uczynili prób zlikwidowania „Dunsterforce“, należało zaważać przede wszystkim wschodniej nie-

dokładności w raportach, podawanych sobie z ust do ust, i wyolbrzymianiu ilości wojska, jakim Dunsterville rozporządzał. Niemato się do tego przyczyniły ciężarówka i trzy samochody pancerne, które nieco później nadeszły. Pojazdy te wywierały wielkie wrażenie na miejscowej ludności, nieprzywykłej do takiego sprzętu wojennego, a sprytnie manewrowanie ich ruchami wywoływało wrażenie, że pojazdów jest nie 44 a czterysta — przynajmniej we wschodnich oczach. W Bagdadzie, wiedząc o tym, nazywano wojsko Dunsterville'a „Hush-Hush Army“.

W czerwcu nadeszły większe posiłki (1000 ludzi) wraz z artylerią i ośmioma wożami pancernymi. Spowodowało to, iż Bicerakow oświadczył, iż już dłużej czekać nie może i wyrusza do Enzeli. Dunsterville postanowił potraktować posuwanie się pułku Bicerakowa jako swą awangardę i podążać w ślad za nim. Plan istotnie się udał. Już 27 czerwca Dunsterville przybywa ponownie do Enzeli, gdzie dzięki obecności przyjaźnego Bicerakowa zawiera układ z Szeliapinem, mocą którego Komitet Rewolucyjny będzie mu dostarczać benzyny w zamian za kilka nacieków samochodów. Kwestia ratowania Baku przed tureckim naporem staje się palącą, tym bardziej, iż ze względu na obecność Niemców w Tyflisie, należy się obawiać rychłych i zrzecznych posunięć. Pomimo nagłości sytuacji odjazd „Dunsterforce“ na odsiecz Baku przeciągnie się jeszcze o półtora miesiąca, ze względu na komplikacje na tyłach w Persji i na szczęśliwy zbieg okoliczności na Kaukazie. Położenie w południowo-wschodnim Kaukazie jest paradoksalne: Niemcy, którzy towarzyszą Turkom w ich operacjach na Wschodzie, bardzo niechętnie patrzą na pochód turecki w kierunku Baku, gdyż mają oni tajną umowę z Leninem, iż miasto zostanie im, a nie Turkom, oddane bez wystrzału. Stąd też starają się oni opóźnić posuwanie się wojsk tureckich i cieszą się z kunktatorstwa tureckiego. Tę paradoksalność powiększa fakt, iż byli oficerowie carscy, obawiając się opanowania nafty przez Niemców, wstępują do wojska tureckiego, gdyż wolą, by to bogactwo narodowe rosyjskie znalazło się w rękach Turków, — jako na dłuższą metę mniej szkodliwych wrogów. Czyniąc to, oficerowie ci walczą przeciw swym kolegom, tak że byłym oficerom carskim, którzy poszli na służbę do bolszewickiej armii Baku, byle tylko przyczynić się do obrony tego miasta przed nieprzyjacielem zewnętrznym. Komplikacje te pozwalają Dunsterville'owi opóźnić moment wyruszenia do Baku i załatwić dwie doniosłe sprawy: zapewnienia sobie bezpieczeństwa tyłów i wyjaśnienia swego stosunku do rewolucyjnych władz Baku.

Należy tu zaznaczyć, że Dunsterville już od dawna utrzymywał łączność z Komitetem Ormiańskim w Baku i że Ormianie bardzo nagliłi, by „Dunsterforce“ nie zwlekała z wyładowaniem w tym mieście. Formalnie jednak Komitet Ormiański nie reprezentował Baku, którego władzę stanowił bolszewicki Komitet Rewolucyjny pod przewodnictwem Szaumiana i Petrova. Obaj ci bolszewicy nie chcieli pomocy angielskiej, choć zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa naporu Turków. Twierdzili oni (jak Komitet Enzeli), iż Dunsterville chce wyładować w Baku nie tyle dla obrony tego miasta dla Rosjan, ile dla imperialistycznych celów brytyjskich, które są z natury kontr-rewolucyjne. Problem został rozstrzygnięty przez zamach stanu, dokonany 26 lipca w Baku przez socjal-rewolucjonistów (S.R.). Na miejsce poprzedniego komitetu została utworzona Dyktatura Centralno-Kaspijska z pięcioma dyktatorami na czele. Nowy rząd wysłał od razu apel o pomoc do Dunsterville'a.

Dnia 16 sierpnia „Dunsterforce“ odpłynęła z Enzeli do Baku.

Minąwszy wyspę Narghin, dawny obóz austriackich jeńców wojennych, „Dunsterforce“ wyładowała 17 sierpnia w Baku. Od tego dnia rozpoczyna się nowy rozdział, rozdział obrony Baku, dokonywanej w zupełności nieprawdopodobnych warunkach. Aby je dokładniej zrozumieć, musimy się cofnąć o pewien czas. Jeszcze przed Anglikami dobrnął do Baku Bicerakow, który ułożył się z władzami miasta co do planu obrony. Zdecydowano, że kozacy Bicerakowa i wojska Baku wyjdą Turkom na spotkanie, by ich nie dopuścić pod samo miasto. Plan ten wprowadzono w życie, jednakże wojska Baku, bardzo niezdyscyplinowane, nie dotrzymywały kroku zgranej i karnej jednostce Bicerakowa. Gdy dzięki temu w paru potyczkach musiano ustąpić z zajętych pozycji, Bicerakow wycofał swój pułk do miasta i tam starał się zorganizować obronę. Napotyając jednak na każdym kroku na rozprężenie, nieojalność, lenistwo lub wręcz tchórzostwo wojsk Baku, opuścił ze swymi kozakami miasto, kierując się na północ do Derbendu. Bolszewicy w Baku ogłosili go zdrajcą i wrogiem ludu i stanęli wobec konieczności radzenia sobie bez nacieszonej pomocy. Pierścien wojsk tureckich zacisnął się wokół Baku, tak że półwysep został zupełnie odcięty od lądu. Wkrótce potem nastąpił wspomniany już przewrót i władza została skupiona w rękach Centralno-Kaspijskiej Dyktatury. Nowi dyktatorzy nie

mieli najmniejszego doświadczenia w rządzeniu lub wojowaniu na lądzie. Armia, którą dysponowali, liczyła 10.000 ludzi, co byłoby wystarczające lub nawet dużo dla utrzymania Baku, gdyby była ona dobrze wyszkolona, właściwie kierowana i karna. Tak jednak nie było. Demoralizacja dowódców, oddziałów lub poszczególnych żołnierzy była wielka.

W takiej oto „atmosfera“ wojskopolitycznej wyładował Dunsterville ze swym wojskiem, które składało się z około 1000 ludzi dla zadań bojowych i z niedużej grupy służb i łączności.

Natychmiast po wyładowaniu oddziały angielskie obsadziły pewne odcinki frontu, sam zaś Dunsterville nawiązał kontakt z miejscowymi władzami. Dunsterville zastał także w Baku dwie dziwne grupy jeńców: bolszewików i Niemców. Pierwsza z nich, to byli ludzie Szaumiana i Petrova, dwóch „zdetronizowanych“ przywódców bolszewickich Baku, którzy chcieli się wymknąć na trzynastu statkach do Astrachania, gdzie istniał także komitet bolszewicki. Socjal-rewolucjonści, którzy władali flotą wojenną Baku, zatrzymali owe trzynaście statków. Akcja ta się opłaciła, gdyż Szaumian i Petrov chcieli wywieźć z sobą cały arsenał Baku. W chwili przybycia do Baku Dunsterville zastał te materiały — broń i amunicję — dość beładnie wyładowane na molo. Jedną z pierwszych jego czynności było wydanie rozkazu przeniesienia ich do budynku arsenału i uporządkowania.

Drugą grupą byli Niemcy. Ich znalezienie się w Baku było komicznym nieporozumieniem. Jak już poprzednio wspominaliśmy, Niemcy niechętnie patrzyli na pochód swych tureckich sojuszników w kierunku Baku i z tego powodu zawarli tajną umowę z Leninem, mocą której Baku miało być im oddane. W wykonaniu tej umowy przybyła do Astrachania niemiecka misja wojskowa i, zakładawszy się na statek, odpłynęła do Baku. Działo się to w początku sierpnia i ani wyjeżdżający Niemcy, ani bolszewicy w Astrachaniu nie wiedzieli, że 26 lipca został dokonany w Baku zamach stanu. 4 sierpnia statek, wiozący Niemców, dobił do mola w Baku, wysadzając na brzeg ufnych w powodzenie swej misji pasażerów. Jakież było jednak ich zdumienie, gdy się dowiedzieli, iż bolszewicki Komitet już nie istnieje i że znajdują się oni automatycznie pod aresztem.

Dunsterville po paru dniach pobytu w Baku, gdzie przeznornie zachował swą kwaterę główną na statku „Krueger“, doszedł do wniosku, iż jeżeli chodzi o wojsko i dowództwo miejscowe, ma do czynienia z elementem bardzo niepewnym. W związku z tym jego pierwszą troską było zapewnienie sobie transportu morskiego na wypadek konieczności ewakuacji. Po dość nieprzyjemnych targach z dyktatorami otrzymał od nich dwa statki handlowe: „Ventur“ i „Ignati“, które natychmiast uzbroił. Ponadto Dunsterville odczuwał jako spory „handicap“ nieobecność Bicerakowa i postanowił sprowadzić go drogą morską, do Baku. W tym też celu wybrał się do Derbendu, lecz nie zdołał nawiązać kontaktu z Bicerakowem. Dla sprawdzenia sytuacji na tyłach w Persji przybył też do Enzeli, gdzie zawarł umowę z niedawnym wrogiem — Kuczik Chanem, który od tego czasu stał się głównym dostawcą ryżu dla wojska brytyjskiego w Persji.

Cała ta wyprawa trwała zaledwie 7 dni, i, gdy Dunsterville przybył z powrotem do Baku 27 sierpnia, zastał bardzo niepomyślną sytuację. Turcy mianowicie w czasie jego nieobecności zdobyli bardzo ważny punkt w systemie obronnym Baku, t. zw. Wulkan Błotny. Gdy w parę dni później Turkom udało się zdobyć inny ważny punkt — wzgórze Binagadi, i to pomimo bohaterskiej obrony oddziałów angielskich, które w ostatniej chwili zawiody miejscowe posiłki, Dunsterville zdecydował, iż ewakuacja będzie nieunikniona. Pomimo dość rozpaczliwego położenia postanowił jednak wytrwać tak długo, jak to było możliwe, i starał się nakłonić dyktatorów do energiczniejszej postawy wobec ich własnego, rozprzężonego wojska. Wszelkie jednak propozycje reorganizacyjne Dunsterville'a były z zasady dumnie ignorowane, a dyktatorzy poczęli coraz częściej występować przeciw niemu, zarzucając mu, iż, przywoząc z sobą tak mało wojska do Baku, właściwie nie dotrzymał on słowa, danego Komitetowi Ormiańskiemu i dyktatorom. Tymczasem sytuacja wojskowa pogarszała się z dnia na dzień, i artyleria turecka dość celnie poczęła ostrzeliwać te punkty, w których mieściły się biura sztabu angielskiego w Baku. Było to bezsprzecznie wynikiem działania V kolumny, istniało nawet podejrzenie, iż jej agenci mają bezpośrednią linię telefoniczną, łączącą ich z Turkami.

Wobec coraz bardziej rozpaczliwego położenia Dunsterville postanowił uprzedzić dyktatorów o zamierzonej ewakuacji. Wystosował on do nich formalne pismo w dniu 1 września, na które otrzymał natychmiast odpowiedź, że dyktatorzy nie pozwolą na ewakuację wojsk angielskich. Należało więc działać szybko i ostrożnie. 3 września Dunsterville wysłał pismo ostrzegające do dowódcy wojsk Baku, a 5 września ponownie uprzedził dyk-

(Dokończenie na str. 5)

*) Kto zna Kiplinga „Stalky & Co.“, temu nieobca będzie postać młodego Dunsterville'a, gdyż to on właśnie jest owym przedsiębiorczym Stalkym.

LUKASZ KURDYBACHA

Tęsknota, wspomnienia, czy przyszłość?

„Nie zaznasz już wytchnienia, nie odnajdziesz
marzeń
[W mdłym powietrzu codziennych dawnych
spraw i zdarzeń,
Pustka będzie jelową powszedni dzień szary;
Tobie trzeba przyszłości innej, innej miary]...”

Zacytowany tu wyjątek z wiersza Słonimskiego „Na szkockim brzegu”, przypomina mi się zawsze, ilekroć myślę o współczesnej — chciałoby się powiedzieć wojennej — poezji polskiej, ukazującej się ostatnio w druku na Środkowym Wschodzie. Zaczęta dopiero przed rokiem akcja wydawnicza na tym polu może się już poszczycić wcale okazałymi rezultatami; objęła ona bowiem twórczość Broniewskiego, Słowackiego, Bronclę, Międzyrzeckiego. Wedowa, Czechowiczówna i in. oraz szeregu młodych poetów w mundurach, znanych pod wspólną nazwą „Karpaczków”. Ożywionemu ruchowi wydawniczemu towarzyszy stałe i szczerze zainteresowanie czytelników, które stanowi jedną z najbardziej charakterystycznych cech naszego życia umysłowego na obczyźnie. W przeciwieństwie do ostatnich lat przedwojennych, kiedy poezję interesowali się tylko recenzenci i, co najwyżej, szczupłe grono czytelników, a wydawane tomiki młodych przeważnie poetów zalegały stale półki księgarskie — obecnie każde nowe wydawnictwo jest po prostu niemal rozchwytywane przez umundurowanych i cywilnych czytelników.

Co wpłynęło na taką wielką popularność utworów poetyckich wśród społeczeństwa emigracyjnego? Odpowiedź, że zjawisko to zostało wywołane głodem polskiego słowa drukowanego, byłaby zbyt prostym uproszczeniem sprawy. Brak książki polskiej, zwłaszcza w Palestynie, — jeśli weźmie się pod uwagę zasoby uczynnej zawsze Biblioteki Uniwersytetu Hebrajskiego, różne prywatne wypożyczalnie, biblioteczki Komitetów Uchodźczych i organizacji, oraz dorobek polskiej akcji wydawniczej, przekraczający liczbę 100 tomów — właściwie nie istnieje, względnie zanika, nie umniejszając bynajmniej wziętości wydawnictw poetyckich. Można nawet powiedzieć, że wzrasta ona proporcjonalnie do ukazywania się nowych tomików.

Geneza tego małego zrozumięcia na pierwszy rzut oka procesu kulturalnego leży w dyspozycjach psychicznych naszej emigracji. Bez względu na poziom umysłowy, sytuację materialną czy przeżycia moralne — tęsknimy wszyscy za Krajem. Chociaż nie zawsze zdajemy sobie może z tego sprawę, chociaż nie zawsze się do tego przyznajemy czy też nie zawsze możemy to w odpowiednich słowach wyrazić, tęsknota za Krajem jest dominującym motywem wszystkich naszych myśli, pragnień

i marzeń. Ten sam motyw wije się jak nie złota przez wszystkie współczesne utwory poetyckie. Czy to będą pełne naiwnego nieco uroku dziewczęcego wiersze Czechowiczówny, czy poezja rytmiki kroków żołnierskich Broniewskiego, czy rozmyślenia historyzoficzne „Litani Loretaniskiej” Bronclę — każdy z tych utworów jest nam niezwykle bliski, doskonale zrozumiały, niemal własny. Gdy je czytamy, wydaje się nam, że powtarzają one nasze własne spostrzeżenia i myśli długich bezsennych nocy, tylko lepiej, bardziej artystycznie wyrażone. Dlatego chętnie bierzemy do ręki tomiki tych poetów nawet wówczas, gdy jesteśmy najbardziej przygnębieni, gdy nam się wydaje, że już nie wytrzymamy nawału nieszczęść. W takich nawet momentach są one nam szczególnie drogie; przenoszą one bowiem nasze stęsknione dusze „na Ojczyznę łono”, uspokajają a, co najważniejsze, pozwalają zapomnieć choćby na chwilę o rzeczywistości, która wcale nie jest piękna, ani poetyczna.

Tęsknota twórców i odbiorców poezji za utraconym Krajem jest zjawiskiem całkowicie normalnym, zrozumiałym i pożytecznym, bo kieruje często naszymi czynami, zmusza do większych wysiłków. Obecna jednak forma jej przejawiania się, i to zarówno w poezji, jak i w psychice uchodźczej, budzi pewne obawy. Jak dotąd, wszystkie nasze utwory literackie szerzą tęsknotę za Polską taką, jaką ona była w dniu 31 sierpnia 1939 r. Znajdujemy w nich tęsknotę za cieniastym drzewem, które stało w określonym miejscu, za krzakiem parku w mieście rodzinnym, za kamienicą, w której mieszkaliśmy, za uśmiechem pozostawionej dziewczyny, za żoną, matką, dzieckiem, rodzeństwem — jednym słowem, za wszystkim, z czym żyliśmy się przed wojną i co nam było szczególnie drogie. Obraz tych osób i przedmiotów, przechowywanych w naszych duszach, nie jest bynajmniej wierny; długa tęsknota zatębiała w nich wszystkie cechy ujemne, podnosząc je jednocześnie do poziomu najwznioślejszego ideału. A tymczasem od chwili opuszczenia przez nas Polski upłynęło co najmniej cztery i pół roku. Cztery i pół roku najokrutniejszej w dziejach wojny, cztery i pół roku masowych egzekucji, zsyłek, deportacji, głodu, epidemii, panicznego lęku o życie najbliższych, ustawicznej walki podziemnej. Intensywnością przeżyć psychicznych i wstrząsów przewyższają one bez wątpienia 40 lat normalnego życia w czasach pokojowych. Jakież olbrzymie, nigdy niezatarte piętno wyścisną one na pozostałych w Kraju, jak dalece zmieniać znane nam z 1939 r., ich poglądy, zasady dążenia! Ich przeobrażenia psychiczne i ideowe — nie mówiąc już o fizycznych —

będą prawdopodobnie tak gruntowne, iż trudno będzie nam, żyjącym w innych zupełnie warunkach, znaleźć z nimi wspólny język, zrozumieć ich poglądy nawet na drobne sprawy życia codziennego, rozpoznać w nich tych samych ludzi, których wyidealizowany obraz nosimy w duszach przez cały czas rozłąki.

Nie podobna twierdzić, że nasza współczesna literatura, a ściślej mówiąc poezja, nie zdaje sobie sprawy z tych zasadniczych przemian. Wzmiankuje o nich często Broniewski, podkreśla Bronclę, wspominają czasem poeci w mundurach, a na terenie Anglii i U.S.A. Wierzyński, Słonimski, Pawlikowska, Balinski, Rostworowski, Hemar. Lecz są to tylko wzmianki, smutne stwierdzenia, że to, co było przed wojną, już się skończyło, leciutkie potrącenia fałszywej struny, dyktowane może podświadomą obawą, aby nie zakłócać powszechnego jasnego obrazu. Tymczasem właśnie to targanie strun, budzących naszą tęsknotę, na nierealnych przesłankach opartą, powinno być, moim zdaniem, silniejsze i bardziej świadome, pod groźbą utraty naszej łączności z Krajem, czy choćby z naszymi najbliższymi.

Skrupulatne chwytywanie wiadomości, dochodzących z Kraju, uświadamianie ogółu czytelników o dokonywujących się tam zmianach, pielęgnowanie tęsknoty za Krajem, ale nie wyjętym ze świata marzeń, lecz tym konkretnym, wraz z wszystkimi jego przeżyciami, cierpieniami i dążeniami — to jedno z zadań naszej literatury pięknej. Drugie, trudniejsze ale i bardziej zaszczytne, polegałoby na budowie ideologicznej jutra Polski, czy — jeśli ktoś woli — na tworzeniu wizji jej przyszłości. Sięszę w tej chwili podnoszące się liczne słowa protestów, że poezja jest sztuką dla sztuki, że twórczość każda ma sobie właściwe prawa, że poetom niczego nie wolno narzucać, i to za cenę obniżenia ich lotu, że wreszcie każda myśl, narzucona poecie, podkopuje wartość jego twórczości. Wszystkie te zastrzeżenia są stare i powszechnie znane, ale nie zupełnie słuszne. Każdy poeta jest członkiem określonego zbiorowiska czy narodu. Wspólne mu są z nim wszystkie cierpienia, plany, dążenia i myśli. Jedyna różnica w tym, że jako bardziej z natury utalentowany odczuwa głębiej wszystkie przeżycia swego środowiska i umie im nadać formę artystyczną. Ponadto wojna, a szczególnie współczesna z jej totalizmem, ma swoje szczególne prawa. Wymaga ona od każdego człowieka, a więc i od poety, specjalnego wysiłku, dla sprostania jej olbrzymim wymaganiom.

Polska poezja wojenna nie uchyla się bynajmniej od zadań ideologicznych. Poczynając

od Wierzyńskiego, który już we wrześniu 1939 r. wołał, że „walczymy o siebie i świat” i że „nie wypuscimy z ręki sztandaru ludów”, poprzez Rostworowskiego, bolejącego nad dysproporcją między hasłami a stanem faktycznym, aż do Broniewskiego, wołającego z rozpaczą o „cmentarzysku idei”, po którym kroczy współczesna wojna, — wszyscy nasi poeci poświęcają mniej lub więcej miejsca zagadnieniom ideologicznym. Głównym tematem ich utworów są jednak tylko zastrzeżenia ideowe pod adresem naszej niedalekiej przeszłości, smutne stwierdzenia naszych licznych niedomagań przedwojennych, a brak natomiast śmielszych rzutów w przyszłość. Na próżno byłoby się doszukiwać w znanych dotychczas utworach poetyckich choćby takiego obrazu Polski jutrzejszej, jaki rzucił Pruszyński w książce „Droga wiodła przez Narvik”, czy Żeromski w latach poprzedniej wojny, nie mówiąc już o wspaniałej pod tym względem literaturze romantycznej.

Dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień podkreślam, iż nie chodzi mi bynajmniej o formułowanie przez poezję polską gotowych programów politycznych czy choćby nawet społecznych. W obecnym chaosie różnorodnych pojęć, sprzecznych interesów i celów nie mogą się na to zdobyć nawet najwybitniejsi męzowie stanu, a co dopiero mówić o poetach! Pragnąłbym jedynie, aby poeci pokusili się o szkicowanie obrazów, tworzenie wizji przyszłości. Jako wizja będzie to coś bardzo subiektywnego, niemożliwego często do zrealizowania, ale mimo to spełni swoją doniosłą rolę. Zmusi bowiem czytelnika do myślenia o przyszłości, wywoła jego zastrzeżenia, refleksje, a może i dyskusję, a ponadto — i to jest najważniejsze — wskaże mu cel, do którego emocjonalnie powinien dążyć, będzie mu przewodnikiem w obecnym, szczególnie trudnym okresie, o którym zresztą w poezji dotychczas zupełnie głucho.

Proponowane tu większe niż dotychczas zainteresowanie się poezji przyszłością narodu wpłynie prawdopodobnie dodatnio również i na nią samą; zmniejszy w pewnej mierze jej charakter ulotny na rzecz trwalszej pozycji w dziejach kultury umysłowej Polski. Nie znaczy to oczywiście, aby ktoś mógł żądać, żeby cała nasza poezja współczesna miała pójść w kierunku przyszłościowym; wtedy straciłaby ona swój charakter dokumentarny. Poszczególne etapy wędrówki żołnierza polskiego, jego przeżycia i czynu powinny i nadal dostarczać tematów i natchnień przede wszystkim poetom w mundurach, zapewniając ich utworom siłę i urok bezpośredniości wrzeń i przemysłu.

ALFONS MROWIEC

NASZ ŚLĄSK OPOLSKI

Było to na parę lat przed wybuchem obecnej wojny.

Skorzystałem z zaproszenia jednego z uchodźców — powstańców, który wybierał się do siostry, mieszkającej poza kordonem, w okolicach Raciborza. Wydawało mi się, że po zawarciu z Niemcami paktu o nieagresji, wrogie nastawienie Niemców do ludności polskiej po tamtej stronie uległo pewnemu zelżeniu.

Był wtedy koniec czerwca. Zbliżało się południe. Wracaliśmy z bujnych łąk i dojrzejących pól zbożowych. Łany pszenicy złota-wo szeleściły. Między polna prowadziła nas do szosy, która strzelisto wybiegała z niedalekich Babic. Na skraju wioski, na tle zieleni odbijała się czerwona szkoła powszechna, niemiecka. Właśnie dopiero co dzieciśka wyległy na plac szkolny, z hałasem wybiegając na szosę. Grupa kilkunastu chłopaków i dziewcząt szła w naszym kierunku. Zakryci kłosa-ami pszenicy, słyszeliśmy jak wesoło, bez troski gwarzyli w najczystszej gwarze śląskiej. Weszliśmy na szosę. Staliśmy parę kroków przed dziećmi. I wtedy właśnie zdarzył się charakterystyczny wypadek: na nasz widok dzieciarnia natychmiast zamilkła, skamieniała jakby ze strachu. Po kilkunastu minutach jeden z chłopaków próbował ciągnąć rozmowę w języku niemieckim. Była to strasznie łamana, kaleczona i wykoślawiona niemieczyna. Próbowałem wstąpić do rozmowy. Mówiłem gwarą śląską, tak bardzo przecież podobną do naszego języka literackiego. Dzieci patrzyły na mnie początkowo z niedowierzaniem, a potem ze zdziwieniem, wreszcie spytały o miejsce mojego zamieszkania. Gdy odrzekłem, że jestem z Polski, dziwnie radosne uczucie poczęło malować się na ich twarzach: Obstąpili mnie jak dobrego znajomego. Jedna z dziewczynek wyciągnęła do mnie rękę, szepcząc: „Pan z Polski... a ja wiem, gdzie jest nasza Warszawa — Kraków — Wisła — Wawel...”

I gdy tak krążyć będziemy po przepięknej, po czarnoziemnej, żyznej dolinie nadodrzańskiej, gdy we wsi wstąpimy pod strzechę chłopską, wszędzie mowa polska przemawiać będzie do nas akcentem silnym i głębokim, przekonującym. Urząd gminny, w większości parafialny dom, policja — to niemieckie wysepki w tym głębokim morzu ducha narodowego. W miastach zaś, czy to będzie

Raciborz, czy Opole, może przerazić nas zewnętrzna, uliczna niemieckość. Ale gdy przejdziemy się przez nią i popatrzymy na pomniki przeszłości, to polskość bije z każdej kapliczki, z każdej figury, z otłarza, z każdego cmentarza. Tam żyje Polska, przywalona molochem germanizacyjnym.

Bo też Śląsk Opolski był i jest polski.

Nie tylko stwierdziła to nasza nauka historyczna, ale stwierdzają to samo i historycy niemieccy, ba, udowodnił to sam Bismarck, gdy 100 milionów marek przeznaczył na germanizację Górnego Śląska. Spośród licznych opracowań, rozpraw czy monografii historycznych — niemieckich, weźmy do ręki choćby książkę Pawła Webera „Die Polen in Oberschlesien, 1914”. Przypatrzmy się uważnie naszkicowanym przez tego Niemca mapkom powiatów górnośląskich. Będziemy nadzwyczaj bezstronni, jeśli uwierzymy twierdzeniom Webera odnośnie roku 1910, a więc okresu czasu, w którym najzaciętsze próby niemiecznictwa wieku XIX i początku wieku XX znajdowały się w stadium niemającego napięcia bojowego. W tych to latach 1910—1914 w całej Regencji Opolskiej zarządzono spis ludności, który w myśl zaleceń Berlina miał dać obraz wyników dotychczasowej akcji antypolskiej. Pomijamy wyniki tego spisu ludności, jeśli idzie o powiaty przyłączone do Macierzy, gdyż wyniki te, obracając się w stosunkach 1:7 czy 1:9, są bezapelacyjnie przekonujące. Chodzi nam jedynie o Śląsk Opolski, o powiaty, leżące po prawej stronie Odry, a więc o powiat kluczborski, oleski, opolski, strzelecki, gliwicki, toszczycki, aby zanalizować procentowe wyniki spisu, twarde oprzeć się na naszym prawie do tych ziem. Otóż: Kluczbork — 47,2%, Olesno — 80,7%, opolski 75,8%, toszczycki — 76,4%, strzelecki 79,2% gliwicki — 75%; po lewej zaś stronie Odry powiat raciborski dał 47,7%, a powiat kozielski — 75% głosów polskich. Jest prawdą natomiast, że stosunek liczbowy elementu polskiego do elementu niemieckiego według formalnych statystycznych niemieckich danych wypada na naszą niekorzyść. Gdy jednak weźmiemy się pod uwagę, że miasta te były centrami administracyjno-przemysłowymi, siedzibami w głównej mierze elementu niemieckiego napływowego, a co najważniejsze, gniazdamis zorganizowanej roboty antypolskiej, stosunek ten staje się mocno wątpliwy i względny na

naszą korzyść.

Potem nastał rok 1919. Rozpoczął się krwawy okres rządów Grenzschutz'u i rad robotniczo-żołnierskich z oślawionym socjalistycznym katem Hoersingiem na czele. Polskość ziemi piastowskiej jest wystawiona na największe prześladowania. Fala nienawiści pruskiej zalewa tę ziemię w formie ciężkiego nacisku fizycznego i materialnego. Urasta do szczytu, gdy 16 czerwca 1919 r. konferencja pokojowa w Paryżu, anulując swą uprzednią decyzję z dnia 9 maja tegoż roku o przyłączeniu całego Górnego Śląska w jego granicach historycznych do Polski, zadecydowała dzięki Lloyd George'owi plebiscyt. Dzięki umiejętnym zabiegom dyplomatów niemieckich obszar terenu plebiscytowego nie koniecznie pokrywał się z obszarem historycznym Górnego Śląska, co zgóry wychodziło na naszą niekorzyść, a co ważniejsze, Niemcom wolno było sprowadzać na teren plebiscytowy t. zw. emigrantów, t. zn. ludzi, którzy kiedyś wyemigrowali w celach zarobkowych do zachodniej części Rzeszy. Na plebiscyt, który odbył się 20 marca 1921 r. zjechało takich emigrantów dosłownie 192.416. Z liczby tej głosował za Polską tylko 10.128 osób. Przyczyn tego smutnego faktu i jego wpływu na ostateczny wynik plebiscytu nie trudno się doszukiwać. To była nasza klęska, zgóry przewidziana, klęska jednak, której w ówczesnych granicach naszych słabych możliwości dyplomatycznych uniknąć się nie udało. Prawdą historyczną mimo wszystko pozostaną wyniki głosowania w powiatach, o których wyżej mowa. I tak za Polską padło: w oleskim — 42% głosów, opolskim — 38,8%, strzeleckim — 58,6%, toszczycko-gliwickim — 63,3%, bytomskim — 62,9%, zabiskim — 52,8%, raciborskim — 48%.

Gdy na Górnym Śląsku gruchnęła wieść, że Polska ma otrzymać jedynie powiat pszczyński i południową część powiatu rybnickiego, a więc powiaty w większości o charakterze rolniczym, na zew Wojciecha Korfante go wybuchła z 2 na 3 maja 1921 r. trzecie powstanie górnośląskie. Powstańcy w kilka dni opanowali linię Odry. Kontrofensywa regularnych wojsk niemieckich pod wodzą gen. Heffera i gen. Huelsena rozbija się o szeregi powstańców, walczących z zacięłą determinacją pod Wielkimi Strzelcami, Kędzierzmem, Górą św. Anny, Raciborzem czy Gogolinem.

Decyzją Rady Ambasadorów z 2 października 1921 r. przepowiadano Górną Śląsk. Po tamtej stronie została część powiatu bytomskiego z Bytomiem, powiat kozielski, miasto Gliwice, Wielkie Strzelce, Zembrze, Kluczbork, Głuszynce, część lublinieckiego, prudnickiego, powiat opolski z Opolem, raciborski z Raciborzem, oleski, część tarnogórskiego, toszczycki i część rybnickiego. Patrząc na niemiecką mapę tych terenów, nie trudno laikowi dostrzec nazwy miejscowości o polskim brzmieniu. Nic nie szkodzi, że z Bytomia zrobiono Beuthen, z Koźla — Kasel, z Niemodłowa — Falkenberg, ze Strzelców — Strechlit, Zabrza — Hindenburg, Kluczborka — Kreuzburg, Głuszyn — Leobschütz, Prudnika — Neustadt, Opola — Oppeln a z Olesna — Rosenberg.

Wszyscy, którzy po tak krzywdzącym dla nas rozdzieleniu tej ziemi mieli możliwość obserwować życie na Śląsku Opolskim, widzieli jak element polski z całą determinacją opierał się nowej, w rozmaite kruczki prawne czy ustawowe zaklananej, fali niemiecznia. Już oficjalny spis niemiecki z r. 1925 podaje, że stan naszego posiadania skurczył się do 42,9%, czyli, wyrażając to liczbowo, do 528.246 Polaków. W r. 1933 hitlerowcy ścięli do cyfry już tylko do 356.568. Gdyby nie obecna wojna, sposobem pruskim polskość w Opolskim spadłaby wnet formalnie do zera.

Ale też Niemcy byli mistrzami w tępieniu polskości. Przypominam sobie drugi charakterystyczny wypadek z terenu opolskiego. Na uroczystość 25-lecia Akademickiego Koła Raciborzan pojechała do Raciborza delegacja Koła Rybniczana. Na dworcu kolejowym w Raciborzu, — a było to już w czasie, gdy hitlerowcy doszli do władzy, — gdyśmy nie odpowiadali na „hajlowanie”, przyjęto nas tak „serdecznie”, że pod ochroną policji z trudem dostaliśmy się do „Strzechy Polskiej”, gdzie odbywała się uroczysta akademicka. Na sali był delegat władz niemieckich i kilku szpiclów, na parterze zaś bandy brunatnych koszul wznosiły okrzyki antypolskie. Wnet potem poczęły szturmować do polskiej sali. Z trudem, bocznymi drzwiami zdołaliśmy uciec. Autem naszego konsultatu opolskiego, drogą okrężną dostaliśmy się do granicy polskiej. W taki to sposób dawiono wszelkie zewnętrzne przejawy polskiego życia.

Polskość trwała w walce pod obuchem pruskim niezwykła, nieugięta. Trwała nie (Dokończenie na str. 5)

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

KRYZYS PRAWA NARODÓW⁽¹⁾

I

Pierwsza wojna światowa była ostrzeżeniem, że chwieja się podstawy społeczności międzynarodowej. Zarówno jednak politycznie i gospodarczo, jak i prawnie nie wyciągnięto żadnych nauk z tej pierwszej katastrofy w wielkim stylu od czasu wojen napoleońskich. Zapomniano doświadczeń z samej wojny, a cały świat usiłowało przestawić ponownie na rok 1914, a raczej na ten ideał, który panował wtedy w umysłach ludzi, kierujących sprawami państwowymi, a który chyba sięgał ze 30 lat wstecz od tej daty. Uwidoczniło się to najlepiej w Lidze Narodów, której wszystkie elementy istniały już z końcem XIX w. i ostatecznie nie zapobiegły już jednej katastrofy.

Powrót do dawnych koncepcji ilustruje najlepiej polityka Stanów Zjednoczonych. Idąc za doktryną Monroe'go, powstała w czasach, w których stosunki polityczne i układ sił świata były całkiem różne od tych, jakie panowały w r. 1919, Stany odrzuciły współpracę i łączną odpowiedzialność za pokój światowy. A przecież właśnie przeżyta wojna powinna była im udowodnić, że polityka izolacji nie da się utrzymać.

Liga Narodów potwierdziła system niezależnych w praktyce państw. Nie mogła prowadzić polityki odmiennej od polityki tych państw. Innowacje, wprowadzone za jej pośrednictwem, były sporadyczne i niecałkowite i nie mogły zmienić podstawowych zasad, rządzących stosunkami międzynarodowymi. Niektórych z nich, jak np. systemu ochrony mniejszości, nadużyły państwa, prowadzące politykę zwalczania Ligi dla własnych celów politycznych (Niemcy).

Szczęśliwym wyjątkiem była Międzynarodowa Organizacja Pracy, która starała się łagodzić tarcia między państwami przez ujednolitanie warunków pracy. Działanie jej było dwójakie. Z jednej strony stanowiła ona międzynarodową instancję, stojącą na straży klasowych interesów robotników. Z drugiej, stwarzając jednolite warunki pracy na całym świecie, rozbrajała konkurencję gospodarczą.

Wszystkie inne instytucje, stworzone po wojnie światowej, jakkolwiek pożyteczne i doniosłe, nie różniły się istotnie w zakresie kompetencji i metodach działania od podobnych instytucji, które już istniały dotychczas. Na przykład Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej nie posiadał przymusowej kompetencji nawet w stosunku do tej kategorii sporów, które łączyły się z interpretacją obowiązujących przepisów prawnych. Ani stałość Trybunału, ani znakomitość prawników, w nim zasiadających, nie miały znaczenia politycznego. Podobnie ciała Ligi Narodów mimo pozorów nie były niczym nowym. Były to konferencje dyplomatyczne, które nie różniły się od konferencji i kongresów, zwoływanych do tej pory. Członkowie Rady czy Zgromadzenia Ligi byli tylko przedstawicielami swych państw. Uchwały ich nie miały charakteru wiążącego, a projekty umów międzynarodowych, opracowywane i zalecane przez Ligę, wymagały ratyfikacji przez poszczególne państwa. Głosowanie na takim czy innym posiedzeniu nie obowiązywało państwa do ratyfikacji umowy. Jedną z zalet Ligi miało być załatwianie spraw politycznych w atmosferze kontroli opinii publicznej. Rezultat był taki, że obrady ciał Ligi i skład ich uniemożliwiały załatwienie na ich płaszczyźnie aktualnych problemów politycznych. Stąd też bardzo często państwa zainteresowane załatwianiem swoich spraw poza obrębem Ligi. W ostatnich latach przed drugą wojną światową stało się to niemal regułą.

II

System Ligi Narodów dałby się utrzymać, gdyby nie to, że szereg przyczyn zmącił stosunki międzynarodowe. Ująć je można w następujące grupy:

1. trudności gospodarcze i niepowodzenie reparacji niemieckich,
2. zmiana metod prowadzenia wojny i totalny charakter konfliktów zbrojnych,
3. upadek prestiżu normy prawnej,
4. wpływ materialistycznych teorii narodowych i społecznych na politykę międzynarodową.

III

W wieku XIX handel międzynarodowy i liberalizm gospodarczy stwarzały podstawę dla społeczności suwerennych państw. System ten godził w prawną niezależność poszczególnych państw z gospodarczą współzależnością, która była rezultatem korzyści lub niekorzyści, płynących ze stanu wymiany międzynarodowej. Niekorzyści gospodarcze były sankcją pokoju.

System gospodarczy, który powstał w rezultacie wojny światowej, już w kilka lat po jej zakończeniu, po początkowym okresie prosperity, wywołał ostry kryzys gospodarczy. Państwa usiłowały złagodzić i usunąć niekorzystne jego skutki, wyodrębniając poszczególne gospodarstwa narodowe spod wpływu międzynarodowej koniunktury. Nie zdobyły się na współpracę na szerszej arenie. Z doświadczeń wojennych wzięły tylko to, co się dało zastosować w poszczególnych państwach.

^(*) Por. nr. 10 (28) „W Drodze”: „Kryzys prawa narodów. Istota kryzysu”. Dokończenie „Spojrzenie w przyszłość” w następnym numerze.

Przyczyny rozkładu

Zapomnieli o tym wszystkim, czego nauczyły się, koordynując gospodarcze wysiłki dla wygrania wojny. W rezultacie, kryzys nie dał się zlikwidować i chaos wzrastał się coraz bardziej. Dodatkową przyczyną było, że z punktu widzenia międzynarodowego dalej wierzone w system liberalny. Powodowało to obawę przed nowymi drogami w międzynarodowych stosunkach ekonomicznych. Państwa nie potrafiły sobie podać rąk dla wspólnego zwalczania niedostatku i bezrobocia. Wpływ zatrudnienia w jednym kraju na stan bezrobocia robotników w innych dzielił je jeszcze bardziej. Nawet i na tej płaszczyźnie mimo światowej solidarności klas pracujących zaznaczyły się niekorzystne tendencje do wydawania zarządzeń, mających na celu obronę wysokiej stopy życiowej w poszczególnych społeczeństwach.

Reparacje niemieckie wzmogły jeszcze bardziej istniejący zamęt. Pomyślane nie jako kara za wywołanie wojny, miały jednak wynagrodzić szkody, spowodowane działaniami armii niemieckiej. Można je jednak było zrealizować jedynie w systemie wolnego handlu międzynarodowego. Ziota Niemcy nie posiadali. Gdy zaznaczyła się tendencja zamykania rynków poszczególnych państw dla towarów państw innych, można było wykonać reparacje tylko w tym wypadku, gdyby przyznać Niemcom przywileje handlowe. To naturalnie było nie do pomyślenia.

Obok szkód natury gospodarczej, które z tego wynikły, niepowodzenia na tym tle, które zresztą sami Niemcy świadomie powiększali, miały znaczenie polityczne.

One przecież stanowiły sankcję tego nowego systemu, który powstał. Miały być dowodem na to, jak nie opłaca się gwałcenie prawa.

Organizacja współpracy międzynarodowej utrudniała poczucie, że system bezpieczeństwa, stworzony przez Ligę, jest niedostateczny. Znaczenie potencjału gospodarczego dla prowadzenia wojny, wykazane przez pierwszą wojnę światową, spowodowało, że państwa dążyły do rozbudowy wszystkich możliwych gałęzi przemysłu na wypadek konfliktu. Sprzeciwiało się to międzynarodowej współpracy gospodarczej, która musi się opierać na specjalizacji w zależności od najlepszych ekonomicznie warunków dla produkcji takich czy innych towarów.

IV

Już pierwsza wojna światowa doprowadziła do porzucenia wielu reguł wojowania, które dotychczas uważano za niewzruszalne. Wojna gazowa, wojna łodziami podwodnymi, bombardowanie z powietrza — to okropności, które ludzkość poznała już w latach 1914—

WYPRAWA ANGLIKÓW

(Dokończenie ze str. 3)

tatorów o niebezpieczeństwie, jakie grozi miastu. Od piątego września Dunsterville nie miał już najmniejszej wątpliwości, iż miasta nie da się utrzymać, lecz zwlekał z ewakuacją, czekając na generalny atak turecki. Atak ten istotnie nastąpił 14 września. Bieg wypadków był analogiczny do poprzednich: okazało się bowiem w krytycznym momencie, iż pewne pozycje zostały opuszczone przez batalion ormiański, który miał za zadanie bronienie ich. Rezultatem było zdobycie przez Turków t. zw. Wilczego Przejścia, co definitywnie zdecydowało o losach obrony. Dunsterville jeszcze raz poinformował dyktatorów o swej, tym razem nieodwołanej, decyzji. Wobec toczącej się bitwy dyktatorzy nie mogli się czynnie temu przeciwstawić, jednakże mogli bardzo zaszkodzić ewakuacji przez wydanie odpowiednich rozkazów swej flocie. O godz. 10-tej wieczór 14 września Dunsterville miał już wszystkich rannych Anglików, umieszczonych na statkach „Kursk” i „Abo”, resztę wojska zaś na „Kruegerze”. O tejże godzinie przybyli na pokład „Kruegera” dyktatorzy Sadowski i Lemlin, grożąc ogniem marynarki wojennej. Dunsterville przedłużał z nimi rozmowę, co dało możliwość niespostrzeżonego wymknięcia się z portu obu statkom z rannymi. Po odejściu dyktatorów zarządził odjazd. O godzinie 11-tej „Krueger” opuścił bez światła przystań. Jedyną przeszkodą mógł być stojący u wejścia portu uzbrojony statek wartowniczy. „Krueger” minąłby go bez incydentów, gdyby nie złośliwość. Jeden z marynarzy rosyjskich „Kruegera” w krytycznym momencie mijania statku wartowniczego włączył wszystkie światła. Jasno oświetlony „Krueger” oczywiście zaraz zwrócił na siebie uwagę statku wartowniczego, który skierował na niego ogień swych armatek, jednak niecelnie. „Krueger” wymknął się spod ognia nieprzyjaciela, znikł w ciemnościach nocy na pełnym morzu i nazajutrz przybił szczęśliwie do Enzeli.

Ostateczny rezultat wyprawy do Baku przedstawiał się w 180 zabitych i rannych. Tak zakończyła się interwencja brytyjska na morzu Kaspijskim.

Jerzy Larren-Lenczowski

1918. Ale nie tylko nowe metody niszczenia sił żywych i gospodarczych przeciwnika powiększyły okropność wojny. Zasadniczą zmianę spowodowały: rozmiar sił, zaangażowanych w walce, i długotrwałość wojny. Z natury rzeczy wojna musiała objąć wszystkich obywateli państw walczących, nie tylko siły zbrojne sensu stricto. Wywiera ona wpływ także na życie państw neutralnych. Zmienił się wskutek tego stosunek do wojny.

Wedle koncepcji Konwencji Haskich wojna nie tylko była dopuszczalna i zrozumiała, ale była metodą, której poszczególne państwa miały prawo użyć. W czasie dyskusji nad przyznaniem Haskiemu Trybunałowi Rozjemczemu przymusowej kompetencji sędowniczej przedstawiciele państw wysłuchali bez specjalnego protestu tyrady przedstawiciela Niemiec. Twierdził on, że w tych sprawach, w których zaangażowane są życiowe interesy i honor państw, nie można przyznać przymusowej kompetencji sądom międzynarodowym dla pokojowego rozstrzygnięcia sporów. W rezultacie ideałem, do którego dążyły postanowienia umów międzynarodowych, było oddzielenie zmagani militarnych od życia jednostek, które nie znajdują się w szeregach zbrojnych.

Już pierwsza wojna światowa wykazała nieosiągalność tego ideału, druga udowodniła, że wojna nie może podlegać co do skutków, które za sobą niesie, żadnym ograniczeniom. Nowe metody walki naraziły społeczność suwerennych narodów na dodatkowe niebezpieczeństwo. O ile stan techniki wojennej sprzed 1914 roku dawał nawet małym państwom szanse oporu choćby na krótką metę w walce z najsilniejszym przeciwnikiem, to zupełnie znikły one w czasie drugiej wojny światowej. W ten sposób groźba supremacji jednego państwa nad całą częścią społeczności międzynarodowej stała się realna. W każdym razie to, co było niemożliwością w ciągu XIX w., rządy świata przez porozumienie największych mocarstw, są dzisiaj technicznie możliwe.

V

Wstęp do Paktu Ligi Narodów postanawia, że jednym z celów stworzenia nowej organizacji międzynarodowej jest przywrócenie stosunków między państwami na podstawie poszanowania norm prawa narodów. Poznaliśmy rolę abstrakcyjnej normy prawnej w systemie społeczności niezależnych państw. Powaga prawa naturalnego jest jedną z podstawin tego organizmu.

Tworzeniem norm prawnych kieruje polityka prawa. Przy jej pomocy uzyskuje się takie czy inne cele społeczne. Nigdy jednak norma ogólna nie może służyć interesom po-

NASZ ŚLĄSK OPOLSKI

(Dokończenie ze str. 4)

tylko pod strzechą wiejską, trwała również w głębinach kopalń, hut i wielkich warsztatach przemysłowych. Wiele razy miałem okazję rozmawiać z tamtejszymi górnikami. Opowiadali mi, że niejednokrotnie dopiero tam na placach, czy w kopalniach mieli możliwość rozmawiać ze sobą po polsku do syta.

Paradoksalne przepokowanie Górnego Śląska w październiku 1921 r. było wynikiem karygodnego nieprzemyslenia i nie wzięcia pod uwagę podstawowych polskich praw do tej ziemi. Decyzją tą chciano przekreślić naszą słuszną historię, pogwałcono najprymitywniejsze zasady etnograficzne, wyrządzono państwu polskiemu niepowetowaną krzywdę i szkodę gospodarczą, krząc geologicznie ze sobą zrosnięte zagłębie górnośląskie. Granica ta wreszcie ze względu strategicznych była bardzo niekorzystną dla Polski. Wykazały to pierwsze dni Września 1939.

Przeszłość uczy nas, że w okresach, gdy Odra była osią naszej polityki państwowej, Polska silnie zabezpieczona była od zachodu; gdy zaś oś ta przesunęła się dalej na wschód, nad Wisłę, niebezpieczeństwo niemieckiego naporu stanęło u samych wrót naszych rdzennie polskich ziem. Pewne, dziś już nam znane, naświetlenia zakulisowej roboty Konferencji Pokojowej w Paryżu czy Rady Ambasadorów, przekonują nas, iż też sztuczna granice górnośląską stworzono celowo poto, by Polska nie była za silna i za bogata. Przepoiwiono Górny Śląsk, aby pokonane Niemcy miały z czego płacić... aliantom reparacje wojenne. Stało się tak, bo byliśmy w owym czasie na polu dyplomatycznym bardzo słabi. Za tym granicznym kordonem zostało przeszło 65 wielkich zakładów przemysłowych, w których polski tamtejszy robotnik musiał w pocie oblicza pracować dla kapitalisty i dla państwa niemieckiego. Te 65 warsztatów, to przyszła nasza wielka pozycja gospodarcza w układzie stosunków handlowych w powojennej Środkowej Europie. Chodzi tylko o to, byśmy, pomni nauk i błędów niedalekiej przeszłości, już teraz przygotowali mocno grunt dyplomatyczny.

Alfons Mrowiec

litycznym jednego tylko z podmiotów. Tymczasem w okresie, dzielącym jedną wojnę światową od drugiej, ogólne normy prawne nadużywano dla tego celu, dla interesów partykularnych.

By wyjaśnić znaczenie tego zdania, musimy przedstawić istotę stosunków między państwami. Układają się one tak samo, jak normalnie w społeczeństwie: wzdłuż pewnych wzajemnych interesów, łączących lub dzielących poszczególne podmioty prawa. Różnica między jednostkami, żyjącymi w społeczności, zorganizowanej w państwo, a państwami, żyjącymi w społeczności międzynarodowej, wynika z samej natury środowiska. W państwie normy prawa są jednakowe dla wszystkich, by sprostać potrzebom wszystkich podmiotów, im podlegających. W społeczności międzynarodowej natomiast poszczególne węzły stosunków między państwami powodują powstawanie specjalnych norm prawnych, umów międzynarodowych. Ogólnie obowiązujące normy prawa narodów są zjawiskiem rzadkim. Brak bowiem organizacji ponadpaństwowej, która by dbała o przestrzeganie takich przepisów. Ten fakt, że każda norma międzynarodowa jest związana z konkretnym interesem, że istnienie jej zależy od postanowienia poszczególnych państw, daje jej specyficzną sankcję. Dotrzymanie konkretnych umów, od których zależą stosunki między konkretnymi państwami, jest silniejszym nakazem, niż przestrzeganie abstrakcyjnej normy prawnej.

Tymczasem w okresie, dzielącym dwie wojny, w którym z punktu widzenia ustroju społeczności międzynarodowej nie się nie zmieniło w porównaniu do stanu sprzed roku 1914, normy abstrakcyjne stały się regułą.

Sama abstrakcyjność przepisów osłabiała je. Ponadto służyły one przede wszystkim jako kamuflaż rzeczywistych zamiarów politycznych. Przypomnijmy sobie nadużywanie przepisów o ochronie mniejszości narodowych przez Niemcy dla realizacji ich własnych zamiarów i planów, przypomnijmy sobie pospiech z jakim państwa zawierały pakt o wyrzuceniu się wojny, by uspić czujność państw, rzeczywiście pragnących pokoju. Z perspektywy dzisiejszego dnia można twierdzić, że wszystkie umowy, zmierzające do ugruntowania pokoju, od Locarna począwszy, nie przyczyniły się do umocnienia bezpieczeństwa świata. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że osłabiły one zobowiązania, dawniej powstałe, cieszące się dawnym autorytetem. W każdym zaś razie służyły państwom, które następnie wywołały wojnę, do ukrycia właściwych zamiarów i do wykonania niespodziewanego napadu.

W rezultacie wszystkie te umowy zostały wielokrotnie złamane. Przypomnijmy sobie bieg wypadków na Dalekim Wschodzie od momentu napadu Japończyków na Mandżurię, a następnie na Chin właściwie, by umysłowo sobie postępowanie Japonii w stosunku do Chin. Przez sam fakt niewypowiadania wojny uniknęła Japonia, względnie usiłowała uniknąć, tych niekorzystnych konsekwencji, które groziły jej na wypadek wszczęcia regularnych kroków wojennych. Jak tragicznym z punktu widzenia szacunku dla norm prawnym był los Abisynii, która, wprowadzona do Ligi przez Włochy, przez nie została potem zlikwidowana. Powstał specyficzny czynizm w stosunku do przepisów prawnych, cynizm, który w oczach prawnika jest najcharakterystyczniejszym objawem w stosunkach między państwami w okresie 1918—1939. Sama ilość paktów i zobowiązań, potępiających wojnę i politykę siły, była objawem niepokojącym.

VI

Głęboko u podstaw społeczności międzynarodowej tkwi świadomość wspólnych węzłów kulturalnych, łączących poszczególne państwa i narody w jednolitą całość. Wyrażała się ona w aktach dopuszczania w ciągu XIX w. państw do „koncertu europejskiego i dobrodziejstw prawa publicznego Europy.” Udział Stanów Zjednoczonych w pierwszej wojnie światowej wynikł w poważnej mierze z przekonania, że zostały zagrożone podstawy tej kultury.

W tej wspólnotę kulturalną niejednokrotnie godziły imperializmy poszczególnych państw, wynikające z doktryn, dyktowanych przez partykularne interesy. W drugiej połowie XIX stulecia rodzą się dwa imperializmy: niemiecki i japoński. W epoce dzisiejszej przyjmują one formę doktryny wyższości rasowej. Doktryna ta daje nową koncepcję stosunków międzynarodowych.

W „Mein Kampf” Hitlera siła jest jedynym czynnikiem w stosunkach międzynarodowych. Nauka niemiecka uzupełniła tę tezę, twierdząc, że umowy międzynarodowe posiadają pełną moc prawną tylko w stosunku do państw, opartych na tej samej ideologii.

Wykazuje ona stosunki między państwami, należącymi do zbliżonych grup ideologicznych, z ogólnego zakresu stosunków między państwowymi. Zrywa związek z prawami, które z tradycji i kultury europejskiej wyrosły. W ten sposób podważa więź zaufania, bez której wszelkie współzycie w społeczności suwerennych narodów nie jest możliwe.

Tłumaczy ona najlepiej to, co się stało w ciągu r. 1939, i stan świata w chwili obecnej.

ADAM CIOLKOSZ

ŚWIĘTO MAJOWE W POLSCE

Dzień pierwszego maja, jako dzień święta, połączonego ze strajkiem powszechnym, zgromadzeniami i pochodami, wszedł głęboko w tradycję proletariatu polskiego. Nie było w Polsce takiej osady fabrycznej, takiej kopalni, warsztatu czy folwarku, gdzieby dzień ten przeszedł bez pamięci.

Obyczaj tego święta początek swój wziął z Chicago, potem przejęto ono zostało przez robotników całego świata. W setną rocznicę zbурzenia Bastylii międzynarodowy kongres socjalistyczny w Paryżu w r. 1889 postanowił, że we wszystkich krajach robotnicy w dniu 1 maja 1890 r. porzucą pracę na cały dzień i „wzwa władze publiczne do wprowadzenia pracy, ograniczającego liczbę godzin pracy do osmiu godzin”. Przez sam fakt jednocześnie i międzynarodowego strajku powszechnego święto to stało się zarazem manifestacją solidarności robotniczej w walce o wolność i pokój między swobodnymi narodami.

Przedstawiciele polskiego ruchu socjalistycznego brali udział w założeńskim kongresie Międzynarodówki Socjalistycznej, na którym ustanowione zostało doroczne święto pierwszego maja. Kongres ten przyjął przez aklamację wniosek Bolesława Limanowskiego, następującej treści:

„Kongres uważa, że obowiązek wszystkich narodów jest starać się o to wszelkimi sposobami, aby każdy naród w Europie posiadał niepodległość narodową i wolność polityczną”.

W obradach paryskich nad międzynarodową manifestacją, której termin Amerykański Związek Pracy proponował na dzień 1 maja 1890, delegatka polska, Maria Jankowska, wykazywała położenie proletariatu polskiego, który nie może prowadzić walki o zjednoczenie w zakresie ochrony pracy z pominięciem kwestii narodowej. Jako że delegatka polska głosiła za rezolucją, domagającą się międzynarodowego prawodawstwa pracy, zwracając jednak w oświadczeniu swym uwagę na szczególne warunki, w jakich się znajdują robotnicy polscy.

Nie mogła jednak zabraknąć robotników polskich w manifestacji majowej. Choć pod władzą trzech zaborców, chociaż w warunkach życia stórkoch gorszych od życia w innych krajach europejskich, chociaż pod uciskiem politycznym i administracyjnym, jakiego nie znała klasa robotnicza na Zachodzie, postanowili robotnicy polscy zaświadczyć, że wagę i znaczenie święta majowego odczuli i zrozumieli.

Pierwsze święto majowe

Zgodnie z międzynarodową uchwałą, na kilka dni przed pierwszym maja 1890 ukazała się w Warszawie odezwa Komitetu Robotniczego „Proletariat”, napisana przez B. A. Jędrzejowskiego. Odezwa wykazywała znaczenie święta majowego, przedstawiała znaczenie walki o 8-miogodzinny dzień robotcy i kończyła się słowami:

„Bracia robotnicy polsey! Na całym świecie pierwszego maja ustanie warczenie maszyn, zgąśnie ogień z kotłem parowym... I my nie możemy się przegladac tylko z daleka walc naszych towarzyszy zagranicą! I u nas nie przejdzie dzień ten naprzóżno... Wstyd tym, co będą się ociagać z podaniem dłoni do wspólnego braterskiego uścisku zjednoczonych robotników całego świata! Wystąpmy zgodnie! Śmiało, bracia, wszyscy razem!”

Odezwa ta została rozrzucona szeroko, władze carskie były nią zaskoczene. Policja carska usiłowała urządzić pogrom Żydów, aby tym sposobem odwieść robotników od myśli o święcie majowym, lecz zamiar ten spełził na niczym, gdyż robotnicy nie dali posłuchu brudnej agitacji antysemickiej. W dniu 1 maja strajkowało w Warszawie około 8.000 robotników. Wiele większych i mniejszych zakładów przemysłowych opuszczało. Następnym święta majowego były liczne aresztowania ludzi, związanych z partią socjalistyczno-rewolucyjną „Proletariat”, której dziełem był zorganizowanie pierwszego święta majowego na ziemiach polskich. Zastęga ta przypadała w szczególności Stanisławowi Padlewskiemu, który po dwóch i pół latach, spędzonych w więzieniu niemieckim w Ploetzensee za działalność socjalistyczną w Poznaniu, następnie po więzieniu w cytadeli warszawskiej przez władze rosyjskie, wydosłwał się zagranicę i stamtąd właśnie w r. 1890 powrócił jako emisariusz. On to też sprzeciwił się pomysłowi, by w dniu 1 maja tylko w formie odezwy zadeklarować swą solidarność z proletariatem świata, i przekonał Komitet Robotniczy „Proletariat”, iż należy wystąpić czynnie, a więc zorganizować strajk powszechny.

Jakże skłusnie pisał „Przedświt” o tej pierwszej manifestacji majowej: „Dla nas, dla socjalistów polskich, dzień ten jest nie tylko tryumfem, ale niejako narodzinami nowego życia”. I istotnie, był to na ziemiach polskich początek wielkiego, masowego, nowoczesnego ruchu robotniczego, w którym hasła

sta walki o niepodległość narodową połączyły się w jedną, nierozrwalną całość z hasłami wyzwolenia społecznego i zbudowania ustroju socjalistycznego w braterstwie wolnych ludów świata.

Warszawa, Łódź, Żyrardów

W roku następnym władze carskie nie dały się już zadowolnić i poczyniły przed 1 maja liczne przygotowania; krążyły nocne patrole, przeprowadzano rewizje paszportów, kontrolowano robotników w fabrykach, w miarę zbliżania się terminu 1-go maja przed fabrykami pojawili się szpiegzy, a fabrykanci grozili robotnikom wydaleniem z pracy za udział w demonstracji.

Lecz z drugiej strony zarówno „Proletariat”, jak i „Związek Robotników Polskich” ożywiły swą działalność agitacyjną. Ukazały się dwie broszury agitacyjne pod tytułami „1 maj, międzynarodowe święto robotnicze”. Jedną z nich wydał w swej tajnej drukarni krajowej „Proletariat”, drugą wydał zagranicą Związek Drukarzy. Nie różniły się one tonem, obie domagały się 8-miogodzinnego dnia roboczego, obie kładły nacisk na żądania ekonomiczne, obie podkreślały międzynarodowe braterstwo proletariatu.

Pojawiła się również krótka odezwa „Proletariat”; autorem jej był Kazimierz Pietkiewicz. Było to ostatnie przypomnienie i wezwanie. Jako że Warszawa stanęła! Po raz pierwszy poruczył pracę także kobiety. Niektóre źródła podają 20.000 strajkujących. Co więcej, ruch ujawnił się także na prowincji, albowiem strajk objął dwa wielkie ośrodki przemysłu włókienniczego, a mianowicie Łódź i Żyrardów. W Żyrardowie strajk trwał dni cztery, gdyż połączono go z żądaniem podwyższenia płacy. Przed świętem Żyrardów cały oblepiony był odezwami. Warto tu przytoczyć wierszyk, umieszczony w odezwie: „Niech się wali, niech się pali, a my będziemy świętowali”. Broszurki o święcie robotniczym rozdawane były wszędzie, nawet na ulicach. W dniu święta od rana trwała agitacja za porzuceniem fabryk. Gdy robotnicy opuszczali fabryki, policja i sprowadzone wojsko obsadzały bramy fabryk. Robotników wytaprywano na ulicach i bito publicznie najahajami na placu Targowym. Chętnych pracować żandarmeria odprawiała do fabryk, gdzie dawano im jedzenie, papierosy i wdłkę. Płacono im 1½ razy tyle, co zwykłe, a z pracy do domów odprawiali ich koczacy. Było mnóstwo aresztowań; przeszło 300 rodzin władze carskie wysiedliły z Żyrardowa. Strajk został złamany, jednak fabrykanci pod jego wpływem ustąpili i później skrócili dzień roboczy.

W roku 1892 „Proletariat”, osłabiony pogromem policyjnym, nie zaznaczył swej aktywności. Natomiast wydał odezwę „Związek Robotników Polskich”. Odezwa ta nosiła podpis: „Socjalści Polscy” i obok hasła ekonomicznych (8-miogodzinny dzień pracy i większych zarobków) wysuwała już wyraźnie polityczne hasła, a nawet ułamkowo podnosiła sprawę narodową:

„Domagamy się swobody politycznej. Precz z okrutnym, samowładnym caratem, zabijającym najlepszych i najszlachetniejszych naszych obrońców. Chcemy sami sobą rządzić... Chcemy swobody zebrań, wolności słowa i druku... Żądamy, by nas nie zmuszono do mówienia w obym języku. Żądamy polskich szkół i polskich szógów... „Zjednoczenie” wydało zagranicą broszurę majową, noszącą również podpis „Socjalści Polscy”. Był to przedruk broszury majowej „Proletariat” z roku poprzedniego, z dodaniem jednak żądań politycznych:

„by nie rozpórządzać nami car samowładny, jak nu sie żywnie podobaa, ale by wszelkie prawa były wydawane przez zgromadzenie wybranych przez naród delegatów, wśród których i mybyśmy mogli mieć swoich przedstawicieli”.

Ponieważ 1 maja przypadał na niedzielę, przeto odezwa wzywała do spędzenia radoznego dnia na wspólnej zabawie i majówkach. O demonstracji robotniczej nie myślano, skoro z racji święta nie było okazji do strajku, i dopiero w szesć lat później niedzielę 1 maja wzywano do demonstracji ulicznych.

Strajk i masakra w Łodzi 1892 r.

Pierwszy maja 1892 miał więc w Warszawie przebieg spokojny; odbyły się zebrańa poza rogatkami miasta. Natomiast przez Łódź przeszła w tym samym czasie fala wielkich akcji robotniczych. Okropne warunki pracy, wysiłek, poniewieranie godności osobista robotników i czcía robotnic były przyczyną strajku, który wybuchł w dwóch wielkich fabrykach dnia 28 kwietnia. Został on złamany przez carską policję, ale już w poniedziałek 2-go maja wybuchł na nowo i szerzył się gwałtownie. Piątego maja stały już wszystkie fabryki. Był to strajk generalny całej Łodzi, objął on również drobne warsztaty rzemieślnicze oraz robotników budowlanych. Od czasów czarystów angielskich, po raz pierwszy w ruchu robotniczym hasło strajku generalnego stało się rzeczywistością. Strajk przerzucił się z Łodzi na prowincję, robotnicy stali ośnieni swoją siłą. Najgłośniejsze było hasło 8-miogodzinnego dnia robotniczego i podwyższenia

płac o 15%. Władze rosyjskie zabroniły ustępstw fabrykantom, których część gotowa była do pertraktacji, a gubernator Miller wydał odezwę, nakazującą robotnikom powrót do pracy i grożącą siliunieniem „kuntu” słą zbrojną. Odezwy natychmiast zdarto z murów miasta, a Millera obrzucono kamieniami.

„Strielat, patronow nie żaliet.” (Strzelac, nie żałować naboów). Władze carskie ściągając do Łodzi ze wszystkich stron wojsko i 5-go maja wieczorem prowokują na Bałutach ruchy antyżydowskie, prowadzone przez t. zw. pobytowców. Robotnicy nie nie mieli z tym wspólnego a często z narażeniem życia bronili napadniętych Żydów. Nie bronila ich bowiem carska policja, która niewątpliwie sama rozruchy te przygotowała. Następnego dnia po południu wojsko rosyjskie zaczęło „przywracać porządek”, strzelając na wszystkie strony. Nastąpiły krwawe starcia wojska z tłumem robotniczym, władze ogłosiły stan wojenny, nastąpiły straszliwe represje i masowe areszty. Aresztowanych bito różgami. Zabitych było — o ile można ustalić — 217, ciężko rannych — 200, aresztowanych — około 900, z czego 82 stanęło przed sądami. 9-go maja większość fabryk pracowała już normalnie i strajk został złamany, lecz wywarł on w całym kraju potężne wrażenie. Wskazał on na konieczność wytworzenia sprężystej organizacji proletariackiej i rewolucyjnej, która prowadzić będzie walkę z despotyzmem rządu carskiego. Siła, ujawniona przez robotników, rzuciła postrach na fabrykantów. Robotnikom nie potrącono z zarobków za dni strajku, a w roku następnym przed dniem 1 maja fabrykanci skrócili dzień roboczy o godzinę.

Po wypadkach łódzkich „Związek Robotników Polskich” wydał odezwę do robotników Łodzi, Żegierza i Pabjanic, tymi słowy plectnąjąc postępowanie rządu carskiego: „Na wasze święte żądanie wyzyskiwacze posłali wam kule żóldackie i nahajki kozoaków. Taką to odpowiedź oni mają zawsze i wszędzie... Zamiast wielkiego naszego hasła „Walka za świętą sprawę robotniczą” rzucano nam hasło „Hejże na Żydów”. Po pchnęli zgraje żóldziei i nierozważnych wyrostków do grabieży. My, robotnicy, nie wspólnego z tym nie mamy. My walczymy nie z Żydami, nie z Niemcami, lecz z wyzyskiwaczami i ciemiężcami”.

W tymże roku w listopadzie nastąpiło zjednoczenie czterech, do tej pory odrębnie działających grup socjalistycznych, które na zjeździe w Paryżu utworzyły Polską Partię Socjalistyczną. Otdąd pod jej to sztandarem dzień 1 maja był świętowany.

W Zagłębiu Dąbrowskim

Oto trzy wyjątki z pamiętników, obrazujących działalność P.P.S. w Zagłębiu Dąbrowskim pod rządami carskimi:

Rok 1892:

„...Robotka agitacyjno-uwiedmianiająca tak „leleko się już posunęła i takie masowe przybrała rozmiary, że w 1898r. można było na dzień 1 maja zwołać zgromadzenie ludowe do parku Sieleckiego. I robotnicy tłumnie na to zgromadzenie pośpieszyli, ale uprzedzone o tym wojsko i policja zamknęły park. Nie mogąc tam wejść, robotnicy uformowali pochód i ze śpiewem „Czerwonego” ruszyli ulicami miasta na Pogoń w liczbie przeszło tysiąca osób. Na drzewach tego dnia zawieszono wiele czerwonych sztandarów z rewolucyjnymi napisami. Wspaniała ta manifestacja bardzo zaniepokoiła władze, zarządziło liczne aresztowania robotników, ale przeważnie na ślepo i bez żadnych dowodów”.

Rok 1899:

„W tym roku musi być święto — mówili robotnicy. Odezwa rozpowszechniono już 24-go kwietnia i prawie całe Zagłębie było nimi oklejone. Towarzystwa tak się uwzieli, że nawet dwóm strażnikom przyklejono odezwy na plecach. Rozpoczął się również silny ruch policji. W samej Dąbrowie dokonano przeszło 40 rewizji. Kilku-dziesięciu ludzi zamknięto do kozy. Patrole koczkie zdwojono, a rewizje uliczne odbywały się w całym Zagłębiu. Dnia 30 kwietnia około godziny 10 wieczorem dano w lasku Milowickim dynamitowy strzał na wiatw po raz pierwszy, a po godzinie 12 wzywano we wszystkich punktach Zagłębia. Koczacy, w galop, jak szaleni, gnali z jednego miejsca w drugie na odgłosy strzałów, ale nikogo nie złapano.

Pierwszego maja odbył się pochód. O godzinie 12 zgarniętą gwizdek w rukurwi Hulczyńskiego i natychmiast zgromadziło się około 1000 robotników. Podniesiono sztandar z napisem: „Niech żyje niepodległa Polska!” „Niech żyja Święto 1 Maja!” i ze śpiewem „Czerwonego” ruszono przez Wygizdów w stronę Pogoni. Manifestanci wciąg przybywali. Pochód trwał przeszło godzinę, a brało w nim udział ponad 2.000 osób. Na Pogoni zwinięto sztandar i u czczenicy rozeszli się spokojnie. Policja bowiem pilnowała parku Sieleckiego przez pamięć na zeszy rok.

Święto i pochód podniosły ogromnie ducha i wiarę w lepszą, jaśniejszą przyszłość.”

Rok 1903:

„...Dzielnica Niemce była twierdzą wpływów P.P.S. i redutą ruchu rewolucyjnego na terenie Zagłębia. Tu wszyscy, górnik w górnika, sprawiali wrażenie starych, zdecydowanych i doświadczonych żołnierzy... Nie przejmowali się niczym zbyt gwałtownie, ale gdy wybuchił, to jak dy-namit, wwiercono w twarzą, kamienną skałę. Od chwili, kiedy poddali się wypłwom P.P.S., stali pod tym sztandarem wiernie, cierpliwie, z zaufaniem głębokim, zawsze gotowi na wszelkie rozkazy i do walki... Nikt inny nie znajdował tu wiary ni posłuchu. Nie entuzjazmowano się wielce nadnym zwycięstwem, ale też i w czasie klęski nie było dezertorów. Walkę rewolucyjną pojmnowano tu jako nakaz sumienia proletariackiego, jako konieczność taką samą, jak pracę z kilofem na dole. Tu były najbardziej wypróbowane bojowo i swarte organizacje: pierwsze I i II szkiełki bojowe. Wyższo stał sporo dzielnych instruktorów i idewo sprawie oddanych ludzi.

...W r. 1903 na 1 maja został tu na nowo zbudowanym koninie wywieszony... olbrzymi czerwony sztandar. Dwóch żołnierzy, postawionych tu w przeddzień do pilnowania, aby nikt sztandaru nie zawiesił, zdolało tak zaagitować, że oddali karabinów i zbiegli za granicę, przeprowadzając oczywiście przez górników. A sztandar wisił przez trzy dni, ku wielkiej radości robotników, a niepoahomowanej wsiekleości policji. Nikt bowiem nie miał odwagi, choć wielu próbowało, dostać się do wierzchołka kominia i zdjąć sztandar. Nie udało go też zestrzelić. Dopiero murarz, który podobno ten konin murował, zgodził się zdjąć sztandar za 25 rubli. I zdjął go, ale w parę dni potem znaleziono go martwego nie daleko domu.

Taki był kodeks rewolucji.

Nikomu, pod karą śmierci, nie wolno było pomagać wrogom.”

Tak bywało w Zagłębiu Dąbrowskim, wedle zapiszków jednego z uczestników tych pionierskich walk.

Przez cały czas panowania caratu w Polsce, 1 maja był zawsze czerwony, ho nie tylko wykitywały czerwone sztandary na ulicach miast i osad, ale zarazem krwąg robotniczą opływały bruki. Masowe aresztowania przed 1 maja miały paraliżować przygotowania do demonstracji, demonstrantom przetrząć co roku drogę mur rosyjskich szeregów żołnierskich, nie szczędził też carscy siepacze kuli i nahajek; szczególnie pamiętna była krwawa masakra w r. 1894 w Częstochowie. Mimo to, a może właśnie dlatego, w każdym roku następnym w dniu 1 maja jeszcze większe rzesze manifestowały wóję walki o niepodległość Polskę Ludową i o socjalizm, a coraz większe gromady robotnicze skupiały się pod czerwonymi sztandarami z trzema literami P.P.S.

Krwawy 1 maja 1905 w Warszawie

Rok 1905. Rok rewolucji. Po raz pierwszy od upadku powstania styczniowego podniesiono został sztandar walki, walki zbrojnej z panowaniem caratu na ziemiach polskich. Manifestacja w Warszawie w dniu święta majowego niosła — jak mówi pieśń robotnicza — „zemsty grom, ludu gniew”. Władze carskie odpowiedziały prawdziwą rzezią pochodu ro-

botniczego w Alejach Jerózolimskich. 50 osób padło zabitych, sto było rannych.

P.P.S. postanowiła odpowiedzieć nowym czynem w zemście za przelaną krew. Organizacja Bojowa otrzymała rozkaz rzucenia bomby w oddział keksholmskiego pułku, który uczestniczył w masakrze. A oto relacja dwuczesnego działacza:

„Z zapartym oddechem, zmęczeni całodzienną bieżnią po mieście, zebrałiśmy się — paru cekaerowców” i większość Warszawskiego Komitetu Robotniczego — przy ulicy Nowogródzkiej, oczekując niecierpliwie gromu naszych pomsty... Kilkakrotnie meldowano nam, że oddziałki bojówki nie mogły wykonać planu ze względu na nieuniknione ofiary z ludności; ostatni meldunek otrzymaliśmy, że zapewne rzucenie bomby nie dojdzie do skutku z powodu wycofania do koszar skazanego oddziału...”

Już się dobrze zmierzchało poego, gdy huk oguszający wstrząsnął powietrzem, u nim slychać było poprzez otwartą okna wyraźny trzask strażów rewolwerowych...”

W istocie groźny ten wybuch włał nową otuchę w nasze przęgnębione serca. Nie licząc dwu samodzielnych bomb — pamiętna kapliczka Murawiewowa w Wilnie i brama tryumfalna dla Mikołaja II w Białymostku — była to pierwsza nasza prawdziwo skonstruowana bomba. Przybywał nowy spymierznienie.

Nie widzieliśmy jeszcze nie o miejscu, w którym udało się naszym bojowcom pomicić w części przelaną krew robotniczą, pędzili nas na ulicę i ciekawości, i obowiązku wobec gospodarzy lokalu na wypadek ewentualnej rewizji...”

Gdy znalazłem się, idąc od Nowogródzkiej ulicy, na rogu Marszałkowskiej w pobliżu Dworca Głównego, nie potrzebowalem żadnych informacji, — zresztą wobec pustki na ulicy nie było nawet od kogo zasięgnąć wiadomości.

Naprzeciw, pod rozstrzaskanym cyferblatem zegara kolejowego... na jezdni leżało kilka poszarpanych tułowi koniskich, oddala leżała czapka kozacka. Ludzkie postaci nie dostrzegłem... Skąd się wzięła na bruku czerwona sygnałowa latarka, docieć nie mogłem...”

Wrażenia moje były z konieczności urywkowe, całą bowiem uwagę skupić musiałem na tym, by uchronić się od runięcia na ziemię przy każdym prawie poruszeniu się... Nogami formalnie ślizgały się w masie śliska, zalegającach trotnar...”

W zaborze austriackim

W zaborze austriackim dzień 1 maja święcono już w r. 1890 w dwóch miastach. W Białej wojsko austriackie strzelało do ludu i zabiło kilku robotników. Po raz pierwszy wojsko wypróbowano na robotnikach nowe karabinu systemu „Mannlicher”...

Drugim ośrodkiem, w którym wezwanie międzynarodowego kongresu robotniczego znalazło odzew, był Łwów. Na dwa dni przed pierwszym maja wybuchł we Lwowie pożar w wielkich warsztatach kolejowych. Przypadkowy ten pożar wzbudził wielką panikę; dworzec kolejowy, magazyny i warsztaty otoczono wojskiem, a bogaci ludzie zapotrzebowali pomocy policyjnej. W podwórzu ratuszowym zgromadziło się w dniu 1 maja rano około 4000 ludzi na zgromadzeniu publicznym. Na

4) Członków Centralnego Komitetu Robotniczego.

KRONIKA POLSKA

— Konsulat Generalny RP. w Sidney wydał dla polskiej kolonii w Australii dwutygodniowy biuletyn „Wiadomości Polskie”, przynoszący najważniejsze wiadomości polityczne, informacje PAT'a i sprawy polskiej. Konsulat wydaje również po angielsku „Polish fortnightly Bulletin”, dostarczający prasie australijskiej informacji o Polsce, oraz miesięcznik „Polish and Central European Review”, redagowany na wzór „Readers Digest” i podający wyciągi z prasy i literatury politycznej angielskiej i amerykańskiej.

— Nakładem wydawnictwa Nelsona w Londynie ukazała się książka Edwarda Ligoickiego „Legends and History of Poland”.

— W Londynie ukazała się ilustrowana kilkoma mapami broszura prof. Stanisława Grabskiego „The Polish-Soviet Frontier”.

— Zbięgniew Grabowski wydał nakładem Kollina w Londynie broszurę p. t. „Europe Expects England”.

— Jako zeszyt szesty serii „Free Europe Pamphlet” wyszła broszura majora MacDonald-Jaslowickiego „Some Facts about Poland”.

— Marcowy zeszyt z b. r. francuskiej „La Revue du Caire” otwiera artykuł L. Bohdanowicza „Les Musulmans en Pologne”.

— „Teatr Polskich Artystów” w Nowym Jorku wystawił sztukę Antoniego Cwojdzińskiego p. t. „Niemiec”. Jest to już trzecia sztuka Cwojdzińskiego, powstała na emigracji. Dwie poprzednie nosiły tytuły: „Pięta Kolumna” i „Polska Podziemia”.

O sztuce tej pisał Jan Lechoń w nowojorskim „Tygodniku Polskim” z dn. 5 marca: „Tendencja tej sztuki jest niezwykle szlachetna; jest to chęć dania wszelkich argumentów przeciw tezie, że jakiś naród może być nikczemny, że jakaś dusza narodowa może być nieuleczalnie chora, jest

to chęć walki z rasizmem, której końcem jest klęska w tym sensie, że istnieje jednak rasa przekięta, nie do naprawienia i nie do wychowania — Niemcy”.

— W Bufallo w Stanach Zjednoczonych zaczął wychodzić zeszytami nowy słownik polsko-angielski w opracowaniu Edwarda Liliana.

— Nakładem Z. Tebinki w Nowym Jorku ukazał się przedruk oxfordzkiego atlasu Polski z r. 1680 „Atlas of Poland. Oxford 1680”. Przyznosi on historię i dokładny opis Polski XVII w. oraz cetera mapy: Korony, Poznańskiego, Litwy i Ukrainy.

Nakładem nowojorskiego wydawnictwa „Roy in Exile” wyszedł angielski przekład „Na skalnym Podhalu” Tetmajera p. t. „Tales of the Tatras”. Książka spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem najwybitniejszych pism amerykańskich. W „New York Times” pisali o niej Orville Prescott i Nina Brown Baker, w „New York Herald Tribune” — Levis Gannett i Virgilia Salepia, a w „Saturday of Literature” — F. C. Weis kopf.

— Jako tom 25. wydawanej w Jerozolimie pod redakcją J. L. Kurdybachy „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie” ukazały się w opracowaniu ks. Kamila Kantakia Juliusza Słowackiego „Utwory pomniejsze w wyborze”, a jako tom 28. — pierwszy tom „Faraona” Bolesława Prusa.

— Nakładem wydawnictwa „Nowej Polski” ukazał się w Londynie „Wybór poezji” Antoniego Słonimskiego. Książka składa się z czterech działów: 1) „Miłość i podróże”, 2) „Młodość i wojna”, 3) „Wiel męski” i 4) „Wiel klęski”. Ostatni dział obejmuje wiersze wojenne: wiersze z „Alarmu”, poemat „Popiół i wiatr” oraz wiersze nowe, prze-

porządku dziennym były: 1) wniosek wysłania wieńca na grób Lassalla, 2) osmiogodzinny dzień robotcy, 3) powszechne głosowanie, 4) zmiesienie armii stajel, 5) sprawa szkół wyznaniowych, 6) założenie robotniczego towarzystwa zapomogowego (późniejsza „Siła”).

Zgromadzenie majowe lwowskie przygotował Stanisław Kasjusz, przysłany w tym celu jako emisariusz przez polską emigrację socjalistyczną. (Niestety, już wkrótce, bo w czerwcu tegoż roku, Kasjusz został przez władze austriackie wydany w ręce władz rosyjskich).

Początek był zrobiony i otdąd już dzień 1 maja stał się miał na zawsze wielką doroczną manifestacją robotniczą w całej „Galicii” i na Śląsku Cieszyńskim. Jednak już w roku następnym „patriotycy” krzykacze stanowili uczynić z rocznicy Konstytucji 3-go maja środek do zlamania robotniczego święta. W szeregu artykułów, umieszczonych w lwowskiej „Pracy”, wyswielono wiele robotnikom znaczenie Konstytucji 3-go maja. W broszurze, wydrukowanej zagranicą („Świeta majowe a partia robotnicza — głos z Galicii”), wyłożono, dlaczego żaden z robotników „nie zechce zrywać solidarności z robotnikami całego świata i nie zechce przerosić święta 1-go maja na 3 maja”. Broszura, która rozeszła się w prawie półtora tysiąca egzemplarzy po kraju, głosiła:

„Nie żądamy, abyśmy dla dodatkich nawet cieni przeszłości poświęcili w czymkolwiek nasze obecne stanowisko, stanowisko teraźniejszości... i nie tudzież się, jakobyście zdołali odwieść nas od niego.”

Pierwszy maja zgromadził blisko 2.000 ludzi na lwowskim podwórzu ratuszowym, a w dwa dni potem robotnicy wzięli udział w pochodzie 3-go maja z oznakami socjalistycznymi przy boku i w ten sposób położyli kres próbie przeciwstawiania rocznicy Konstytucji 3-go maja świętu robotniczemu.

Tak oto o dorocznym święcie majowym w byłym zaborze austriackim pisze w swych pamiętnikach niezapomniany Ignacy Dąszyński:

„...Cały kraj w setkach miejscowości święcił pierwszego maja uroczystości. Cała partia od marca każdego roku przechodziła okres gorączkowej agitacji za święceniem 1 maja. Zawód po zawoście, miejscowość po miejscowości urządziły dziesiątki poufnych i publicznych zgromadzeń i narad, jak święcić 1 maja, aby bezbrobie było kompletne, zgromadzenie i pochód prawdziwie uroczyste, zabawa majowa piękna i powszechna. Muzyki, chóry, ćwiczyły się gorliwie, referaty przygotowywano, rezolucje majowa rosymano, co nadchodziło, barwne jednolitości majowe drukowano, jednym słowem uchwała paryska weszła u nas w życie wspaniale! Nieraz błogosławielem ten znakomity pomysł dnia robotniczego, bo wprowadzony odpowiednio w życie dawał niezliczone sposobności agitacji i propagandowej pracy, owianej duchem socjalistycznym. Ze policja i jezuita starali się wedle sił przeciwdziałać, to było rzeczywiście zrozumiałe... W Krakowie w r. 1891, dyrektor policji English skonsynował całą ogromną załogę twierdzy w strachu przed 1-majową uroczystością... Na Cieszyńskim Śląsku i w wielu miejscowościach Zachodniej Galicii rozszerzyło się święto majowe i na wieś. Czarownie też wyglądały takie pochody robotnicze z muzyką i czerwonymi sztandarami na dach zielonych pól i lasów. Taka była żywiołowa siła w tym święcie, że nawet podczas wojny w twierdzy krakowskiej potrafiłiem przeprzeć u austriackich wielmożów wojskowych pozwolenie na uroczyste święcenie 1 maja. Obstawiono nas, oczywiście, całymi pułkami, uzbrojonymi jak do wojny, ale pozwolono!”

W zaborze pruskim.

W znacznie cięższych warunkach, mimo to jednak świętowali robotnicy polscy dzień 1 maja także i w zaborze pruskim. „Międzynarodowe święto robotnicze”, wydawnictwo P.P.S. zaboru pruskiego w r. 1894, głosi:

„Wypowiedzenia naszych żądań; skorystajmy z niej, stawmy się wszyscy, a hasłem naszym niech będzie:

Zgądanie 8 godzin pracy i lepszej płacy, nie chcemy rządów szlacheckich, nie chcemy być Prusakami, mówiącymi po polsku, nie chcemy być obywatelami drugiego stopnia. Niech żyje wolny, polski lud!”

W przededniu drugiej wojny światowej

W Polsce niepodległej manifestacje majowe przybrały już inny charakter. Hasła majowe, to były hasła obrony i pogłębienia demokracji, praw socjalnych dla robotników oraz pełnego przeobrażenia ustroju gospodarczego i społecznego. Cudownie to były nieraz obchody, tonęły w czerwieni sztandarów i w zieleni, barwily je niebieskie koszule naszej młodzieży socjalistycznej, a chóry i orkiestry dodawały uroku temu robotniczemu świętu.

Na czele pochodów posuwały się kolumny rozwerstwowane, a czasem i banderami Krakusów. Na każdej piersi goździk czerwony, znak robotniczego braterstwa. Później nieraz pojawiały się w pochodach także i zielone sztandary chłopów-ludowców, a zawsze i wszędzie było to święto solidarności robotniczej wszystkich narodowości, zamieszkujących Polskę. Więc w manifestacjach naszych, organizowanych przez P.P.S., brali udział także socjaliści żydowscy, ukraińscy, niemieccy (np. na Śląsku) oraz chłopci białoruscy. Śpiewano i przemawiano w różnych językach, ale wszyscy stanowiliśmy jedną rodzinę, silną wzajemnym zaufaniem i wiarą w przyszłość socjalizmu i zwycięstwo robotniczej sprawy.

Pojawił się jednak nowy nieprzyjaciel: faszyzm, jako prad międzynarodowy. Prąd ten niosł z sobą widmo nowej wojny światowej, grożące zarazem samej niepodległości Polski. Niebezpieczeństwo to, oraz wyrażające alarmowało masy robotnicze, zwłaszcza gdy faszyzm od pogórzeł i zapowiedzi przeszedł do czynu i gdy rzekomo lokalne agresje stawały się sygnałami nadiągającej wojny światowej. Odezwa Centralnego Komitetu Wykonawczego P.P.S. na dzień 1 maja 1939 głosiła, jakże słusznie:

„Niechaj zjednoczy się lud pracujący wokół wielkiej sprawy obrony wolności wewnętrznej i niepodległości Polski... Zadań, choćby największa pomoc zewnętrzna nie zdoła zastąpić siły wewnętrznej i pogotowia zbrojnego danego narodowi. Biada narodowi nieprzygotowanemu i słabemu, biada wierzącym w układy i zobowiązania faszy

JAN TOEPLITZ

PROBLEM KAUCZUKU SYNTETYCZNEGO

Badania nad możliwością syntezy kauczuku datują się od czasu, gdy kauczuk naturalny zaczął znajdować coraz większe zastosowanie w przemyśle. Przyczyną tych badań była ta okoliczność, iż kauczuk naturalny w pierwszej fazie rozwoju przemysłu kauczukowego miał charakter nadzwyczajną różnorodność, pochodząc z różnych źródeł, zarówno pod względem geograficznym, jak i botanicznym. W tym okresie bowiem plantacje drzew kauczukowych (hevea brasiliensis) jeszcze nie istniały i kauczuk zdobywany był w sposób prymitywny z drzew różnego typu, rosnących dziko w puszczach Ameryki Północnej i Afryki. Różnorodność ta utrudniała ogromnie opracowanie zadowalających metod fabrykacyjnych, co łącznie ze zwykłą cen, powodowaną niewystarczającą podażą surowca, zachęciło do szukania możliwości zastąpienia surowca naturalnego przez produkt sztuczny.

Już w połowie zeszłego stulecia prace Tildena i Wallacha dały pierwsze podwaliny pod przyszły rozwój syntezy kauczuku. W r. 1887 Wallach pierwszy otrzymał produkt, zbliżony do kauczuku, z isoprenu, wytworzonego z terpetyny, działając nań kwasem solnym i naswietlając promieniami ultrafioletowymi. Lecz dopiero w r. 1900 Kondakoff otrzymał z dimethyl-butadienu materiał o właściwościach gumy.

Od tej chwili praca nad ulepszeniem i rozwinięciem możliwości produkcji kauczuku energicznie postępowała naprzód. Szereg prac było finansowanych głównie przez różne niemieckie firmy przemysłowe. Dlatego też gdy w czasie wojny 1914-18 r. Niemcy wskutek ścisłej blokady zostały odcięte od źródeł surowca naturalnego, były one w stanie pierwsze uruchomić przemysłową produkcję tego tak ważnego surowca strategicznego.

Kauczuk ten produkowany był ze wspomnianego dimethyl-butadienu. Niemcy, zaniechawszy szeregu metod, opracowanych w ostatnich latach przed wojną, powrócili do metody Kondakoffa ze względu na łatwość utrzymania niezbędnego wyjściowego surowca, którym był acetylen, ten dziś najważniejszy i najwzschodniejszy surowiec organicznego przemysłu chemicznego.

W fabrykach Bayera w Leverkusen Niemcy wytwarzali dwa typy kauczuku (methyl H. i methyl W.) w ilościach 300 tonn miesięcznie. Różnica między tymi dwoma typami wynikała z różnych metod polimeryzacji*, wskutek czego otrzymywano dwa dość różne produkty, obydwa zresztą jakościowo dość łyche.

Z końcem wojny, gdy dostęp do surowca naturalnego został znów otwarty, produkcji tej definitywnie zaniechano i od tego czasu o kauczuku metyloowym więcej nie było mowy. Znaczenie jednak tej próby fabrykacji na skalę przemysłową jest o tyle ważne, iż po raz pierwszy spotykamy tu acetylen jako surowiec wyjściowy.

Również i prace badawcze z końcem wojny zostały zaniechane i w Niemczech, i w innych krajach. Do tego zubożenia w stosunku do zagadnienia, którym interesowano się przed wojną tak żywo, przyczynił się nieoczekiwany szybki rozwój produkcji plantacyjnej.

Rokiem przełomowym był rok 1925. Rok ten znamionuje niewiarogodna wprost zwyżka cen kauczuku naturalnego, która osiągnęła 3/- za lbs, co spowodowało czynne zainteresowanie się szeregu concernów zarówno chemicznych jak i przemysłu gumowego sprawą produkcji kauczuku syntetycznego, albowiem cena kauczuku naturalnego zapewniała rentowność tej produkcji. W rezultacie opracowano szereg metod i różnorodnego typu kauczuki znalazły się w produkcji przemysłowej, jednakowoż w skali minimalnej. Z wyjątkiem ZSSR tendencją — zresztą z punktu widzenia technicznego całkowicie słuszną — nie było tworzenie produktu, zastępującego kauczuk naturalny, który jedynie posiadał wielką ilość zalet technicznych, lecz produktów uzupełniających, to jest posiadających te zalety, których kauczukowi naturalnemu było brak. Przyczyną tego była daleko idąca i wciąż pogłębiająca się specjalizacja produkcji przemysłowej, która wymagała szeregu materiałów, posiadających pewne, ale nie wszystkie cechy kauczuku, lecz zato także pewne cechy, których kauczuk naturalny nie posiadał, jak na przykład odporność na benzynę i oliwę, światło słoneczne, ozon etc. Należy też mieć na względzie, iż z czasem ceny kauczuku naturalnego spadły, osiągając w r. 1934 -/6d. za lbs. W tym roku ZSSR wyprodukował 11,139 tonn, Niemcy zaś tonn 10, zapowiadając produkcję 60,000 tonn, którą osiągnęły w r. 1940. Tylko te dwa państwa podjęły przed

wojną światową rozbudowę przemysłu kauczuku syntetycznego na wielką skalę. W Anglii były produkowane minimalne ilości specjalnego kauczuku pod nazwą Novoplas i Polythene, w Stanach Zjednoczonych wielką gamę szesnastu różnych typów kauczuku, lecz ogólna produkcja wyniosła w r. 1939 zaledwie 2,250 tonn (w tym to roku Rosja wyprodukowała 53,000 tonn, Niemcy zaś przeszło 30,000).

Dopiero przystąpienie do wojny Japonii całkowicie odwróciło sytuację, albowiem 88% zasobów kauczuku naturalnego znalazło się w rękach obcych. Według statystyki eksportowej z r. 1940:

Malaje Brytyjskie	wywiezły	540,417 tonn
Indie Holenderskie		536,740 "
Północne Borneo		17,623 "
Sarawak		35,166 "
Syam		43,940 "
Indochiny		64,437 "
Oceania		2,267 "
Razem		1240,580 "

Ceylon 88,854 "
Indie Brytyjskie i Birma 23,317 "
Afryka 10,103 "
Liberia 7,223 "
Półn. Ameryka 17,601 "
Meksyk (Guayule) 4,106 "
Razem 151,244 tonn

pozostało do dyspozycji państw Sprzymierzonych, czyli niespełna 20% ich przedwojennego spożycia.

Ten stan rzeczy zmusił państwa sojusznice do możliwie szybkiej rozbudowy produkcji kauczuku syntetycznego. W grę naturalnie wchodziła produkcja tych typów kauczuku syntetycznego, które dałyby się przerabiać w instalacjach istniejących i zbudowanych dla przeróbki kauczuku naturalnego i metodami, nie odbiegającymi znacznie od metod, stosowanych w tym przemyśle. Przy wyborze typów kauczuku, które miały być objęte programem przedsięwziętej gigantycznej rozbudowy, musiano mieć na względzie, iż 75% spożycia kauczuku idzie na produkcję opon i dętek, 10% zostaje zużyte dla celów przemysłowych, a 5% — dla celów lekarskich, reszta zaś na obuwie gumowe i inne cele. Dlatego też z 700,000 tonn, które ma wytwarzać w przyszłości przemysł Stanów Zjednoczonych, 540,000 tonn będzie typu Buna S., a 60,000 tonn typu thiokol. Należy zaznaczyć, iż w r. 1939 Stany Zjednoczone nie produkowały wcale kauczuku, zbliżonych do typu Buna S., a w 1941 r., produkcja ich wynosiła zaledwie 4,000 tonn,

podczas gdy produkcja Neoprenu wynosiła 6300 tonn, a Thioplastów — 1400 tonn.

Mając na widoku tak szeroką rozbudowę produkcji, należało w pierwszej linii rozwiązać zagadnienie zaopatrzenia w wyjściowe surowce. Surowcami tymi dla Buny S. są butadien i styren, dla thiokoli etylen. Zagadnieniem najtrudniejszym z punktu widzenia gospodarczego było znalezienie i zapewnienie źródła butadienu. Ten związek organiczny mógł być wytwarzany 1) z alkoholu 2) z acetylenu 3) z gazów naturalnych lub z gazów rafineryjnych.

1) Sowiety pierwotnie oparły swą produkcję kauczuku syntetycznego SBK na butadienie, wytwarzanym z alkoholu, uzyskiwanego z produktów rolnych, zawierających krochmal. Tą drogą poszła też i Polska, budując fabrykę w Dębicy. Droga ta była fałszywa, albowiem z punktu widzenia technologicznego jest ona nadmiernie skomplikowana, gdyż trzeba najpierw przez fermentację przetworzyć krochmal na alkohol, potem zaś alkohol na butadien. Z punktu zaś widzenia gospodarczego przetwarzanie produktów rolnych, będących w ograniczonej podaży, na butadien jest niekorzystne, dlatego też Sowiety odeszły od tej metody, wytwarzając teraz swój kauczuk SKA z gazów naftowych.

Jeśli by bowiem oprzeć się przy produkcji alkoholu na produkcji ziemniaków, to z 1 hektara mieli byśmy przy wydajności 12 tonn kartofli — 320 kg. kauczuku, podczas gdy 1 hektar plantacji hevei daje 450 kg. a 1 hektar plantacji guajuli daje 3200 klg. kauczuku!

2) Niemcy (jak zresztą i Du Pont de Nemours w USA) wytwarzają butadien z acetylenu. Produkcja acetylenu jest technologicznie całkowicie opanowana. Wielkie fabryki tego produktu są całkowicie zautomatyzowane, surowce dla tej fabrykacji są tanie i łatwo dostępne (kamień wapienny i węgiel). Acetylen jest poza tym źródłem bardzo wielu produktów przemysłu chemicznego. Niemcy produkowali go przed wojną w ilości 600,000 tonn rocznie. Acetylen bowiem jest jednym z najważniejszych surowców przemysłu chemicznego i bez przesady można twierdzić, że jest tym fundamentem, na którym powstał nie tylko przemysł kauczuku syntetycznego, lecz tak dziś potężny przemysł mas plastycznych. Poza tym z acetylenu wytwarzany jest kwas octowy (produkt niezbędny dla produkcji barwników, materiałów wybuchowych), alkohol etylowy, aceton, trichlor etylen i wreszcie benzyna syntetyczna.

Niezależnie od butadienu i otrzymywanej z niego buny szereg innych różnego typu kau-

czuków syntetycznych produkuje się z acetylenem; jak np. neopren, wytwarzany przez Du Pont de Nemours.

Produkcja acetylenu opiera się na fabrykacji karbidu, który wytwarzany jest z kamienia wapiennego i z koksu lub antracytu przez stopienie w piecach elektrycznych przy temperaturze 3000° C. Kamień wapienny uprzednio jest wypalany w automatycznych piecach wapiennych i mielony do właściwych rozmiarów i po zmieszaniu z koksem drobnoziarnistym, załadowany do pieców elektrycznych. Nowoczesne piece, posiadające elektrody o rozmiarach przeszło pół metra w kwadracie, pochłaniają do 10,000 kw. Podstawowym więc czynnikiem rozwoju tego przemysłu jest tani prąd elektryczny, pochodzący czy to z elektrowni wodnych, czy też elektrowni kopalnianych, używających taniego paliwa.

3) Trzecim i bodaj że najtańszym i najdostępniejszym źródłem zarówno butadienu jak i styrenu są gazy naftowe. Gazy te, nie tylko w Stanach Zjednoczonych występujące w dużej obfitości, były dotychczas przeważnie marnowane, używano ich do celów opałowych i oświetleniowych, a w wielu wypadkach były nawet puszczane wprost w powietrze, jako produkt zbędny, z którym niewiadomo było, co robić. A jak wielkie bogactwa surowców dla przemysłu chemicznego zawarte są w tych gazach, można osądzić z tego, iż według obliczeń prof. Ipatieffa z Uniwersytetu w Chicago, z gazów, będących dziś do dyspozycji w Stanach Zjednoczonych, można by wyprodukować 4,500,000 tonn alkoholi syntetycznych rocznie. Zagadnienie bowiem produkcji alkoholi syntetycznych z gazów naftowych, czy to naturalnych, czy to pochodzących z rafinerii, stało się ostatnio wysoce aktualne, gdyż dla szeregu przemysłów alkohol, otrzymywany drogą fermentacji, był zbyt kosztowny, jak również podaż, uzależniona od rynków produktów rolnych zbyt niepewna.

Ciekawym jest, iż gazy naftowe są również źródłem najpoważniejszego surowca pomocniczego przemysłu gumowego, mianowicie sadzy. Dzięki domieszcze sadzy kauczuk naturalny uzyskał wytrzymałość, umożliwiającą produkcję opon, i tylko dzięki domieszcze sadzy kauczuk syntetyczny mógł stać się konkurentem kauczuku naturalnego. Sadze, wytwarzane z gazów naftowych, nie mogą być zastąpione przez żaden inny typ sadzy i są wskutek tego niezastąpione.

Butadien jest wytwarzany z olefinów, zawartych w gazach naftowych, przez dehydronizację w obecności pewnych katalizatorów, jako to na przykład tlenki chromu lub vanadium, przy temperaturach od 600—650° C.

Drugi zaś surowiec dla produkcji buny S. styren wytwarzany jest metodą Berthelota z etyl benzenu. Etyl benzen znajduje się jako produkt uboczny przy destylacji ropy naftowej, lecz tylko w ilościach ograniczonych. Z tego też względu, koniecznym było uciec się do produkcji tego związku wspomnianą metodą. Benzen otrzymywany jest przy destylacji węgla lub też drogą syntezy z acetylenem, Etylen zaś z gazów naftowych lub z alkoholem.

Dla wykonania programu produkcji kauczuku syntetycznego w Stanach Zjednoczonych, przewidującego wyprodukowanie 540,000 tonn Buny S., 150,000 tonn styrenu będzie potrzebne.

Jak widzimy więc gazy naftowe są źródłem prawie że niewyczerpanym trzech podstawowych surowców dla produkcji kauczuku syntetycznego.

Można jednak zadać pytanie, jaka będzie przyszłość tego przemysłu po wojnie, gdy plantacje kauczuku naturalnego staną się znów dostępne, zwłaszcza, iż pomimo całego postępu technicznego ceny kauczuków syntetycznych są do dziś dnia znacznie wyższe od cen kauczuku naturalnego. Poniższa tabliczka uwiadamia tę wydatną zniżkę cen, która musiałaby się dokonać, aby produkty syntetyczne znajdujące się na rynku mogły konkurować z produktem naturalnym:

CENY ROKU 1941			
Produkt	Cena	C. gat.	Cena równoważności
Kauczuk	\$ 0.23	0.92	0.23
Neopren	0.65	1.24	0.17
Buna S	0.60	0.96	0.22
Thiokol	0.45	1.38	0.15
Koroseal	0.60	1.33	0.16
Hycar	0.70	1.00	0.23

Jednakowoż perspektywy na przyszłość nie są tak ciemne dla tego przemysłu, jakby to wynikało z tabelki. Albowiem nie możemy przewidzieć dziś, jak będą się kształtowały ceny kauczuku naturalnego po wojnie, plantacje bowiem, opanowane przez Japończyków, prawdopodobnie uległy w znacznej mierze zniszczeniu, gdyż Japonia nie ma możliwości przeobrażenia nawet części ich produkcji. Zdolność przetwórcza fabryk japońskich wynosiła 60,000 tonn, podczas gdy zdolność wytwórcza plantacji w posiadaniu Japonii — 1250,000 tonn. Należy więc przypuszczać, że większość plantacji będzie porzucona przez okupantów i zagarnięta przez otaczającą dżunglę. Doprowadzenie ich do porządku w przyszłości będzie i trudne, i kosztowne. Również nie wiadomo, w jakim stanie będą znajdować się instalacje dla przetwarzania kauczuku, które znajdują się na plantacjach. Od tych okoliczności zależeć będą ceny surowego kauczuku oraz możliwości jego konkurencji z kauczukiem syntetycznym.

ALICJA DRWĘSKA

WIZJA MALARSKA

Puszyste kobiety Renoira
Biegały po szmaragdowej murawie.
Wiatr rozwiewał im włosy i wydymał pulchno różowe drapiere.
Rubinowe jabłka padały w dłoń, rozwarte jak motyle.
Srebrna woda w zakochane tuliła się brzegi.
Wierzyby rzucały wielkie fioletowe cienie.
Brunatny faun grał fontannę Ravela.
A złote plamy słońca biegały jak sero...
Nagle z siniego lasu wyszedł Pan okrutny
I Południca wyszła, żaru dysząca płomieniem,
I umilkł faun, w ręce trzymając fujarkę wzniesioną.
Kobiety w cieniu legły, południa upałem znużone,
Na krągłe ramie chyląc głowy senne,
I spały, świecąc w cieniu ust jasnym korałem.
We śnie, jak konchy, białe rozchylały uda.

SIELANKA

Łany, łany, złociste łany,
Srebrzyste żyto, złota pszenica,
Chabry i maki wplecione w kłosa
I Twoje rosą pachnące włosy.

Niebo, niebo, błękitne niebo
I miedza kręta jak szara wstęga,
I sine cienie ścielą topole,
Patrząc z zadumą w szerokie pole...

W głębokim lesie olchy zielone
W chłodnym strumieniu kąpią swe dłonie.
Usta czerwone, jak jarzębiny,
Daj ucałować, o mój jedyny.

W dalekie światy płynie piosenka,
Jak pajęczyna przędą się głosy,
Już mrok zapada — psy się uspiły,
Czy pod jaworem czeka mój miły?

*) Polimeryzacja. Polimeryzacja, nazywany proces łączenia molekul węglowodorów o niskiej wadze molekularnej w łańcuchy macromolekul o wadze większej. Właściwości fizyczne związków, ulegają daleko idącym zmianom, lepkość wzrasta stopniowo i przy dalszym wzroście wagi związek, będący pierwotnie gazem, może przetworzyć się w ciało stałe. Jako przykład można przytoczyć polimeryzację styrenu, gdzie molekula o wadze 104.14 zwiększa się do 750,000. Innym przykładem może być polimeryzacja etylenu, dokonywana dla produkcji benzyny lotniczej, gdzie z 1.000 stóp sześciennych gazu otrzymuje się 4.7 gallonów benzyny.

Różne czynniki wywołują polimeryzację: wysokie ciśnienie, wysoka lub niska temperatura, światło słoneczne lub ultra-fioletowe, wreszcie obecność pewnych ciał, zwanych katalizatorami.

WYSTAWA MALAREK POLSKICH

Dnia 28-go maja odbyło się w Jeruzolimie, w Cabinet of Arts — otwarcie wystawy trzech młodych malarek polskich, pp. Krystyny Domańskiej, Alicji Drwskiej i Anny Zaleńskiej-Stahlowej.

Wszystkie trzy artystki dały swym dorobkiem dowód szczerego wysiłku i pracy nad sobą, dowód, że czas wojenny nie był dla nich stracony. Wystawiają nie po raz pierwszy w czasie tej wojny: pp. Drwską i Stahlową wystawiały w Tehe-

ranie, gdzie uzyskały za swe prace nagrody, p. Domańska dała się już poznać publiczności kairskiej na wystawie, urządzonej w r. 1942. Obecna wystawa jest pierwszym występowaniem młodych artystek na terenie Palestyny.

Stwierdzić należy, że talent p. Domańskiej jest najbardziej dojrzały. Zapatrzona w dobre wzory nowoczesnego malarstwa francuskiego, znalazła ona swą drogę, swój sposób podchodzenia do tematu. Jej martwe natury, akty, studia portretowe i pejzaże wykazują dużą wrażliwość na kolor i dobre opanowanie techniki kładzenia barw.

Ma się wrażenie, że p. Drwską interesuje

szczególnie portret, choć w tej domenie porusza się jeszcze nieśmiało, skąd pewna miękkość i mglistość zarówno formy, jak i koloru. Patrząc również na jej pejzaże, odnosi się wrażenie, że artystka tkwi jeszcze silnie w akademickich formach i znajduje się dopiero w stadium poszukiwania własnego wyrazu.

Szkice p. Stahlowej — choć nieco kobiece i nie zdradzające rozmachu i śmiałości — wykazują dużą kulturę artystki i zdolność wnikliwej obserwacji otaczających ją egzotycznych typów i krajobrazów.

Wszystkie trzy artystki stoją właściwie na

starcie swej artystycznej kariery, starcie — w okresie wojennym — szczególnie trudnym. Należy im życzyć, by dalszy — daj Boże najkrótszy — pobyt na Środkowym Wschodzie pozwolił ich młodym talentom rozwinąć się w jak najbardziej sprzyjających warunkach.

em.



ALICJA DRWŚKA :
Portret dziewczynki



KRYSTYNA DOMAŃSKA :
Akt



ANNA ZAŁĘSKA-STALOWA :
Uliczka w Jeruzolimie

WYSTAWA GRAFIKI ANGIELSKIEJ

Dnia 14 maja została otwarta w Muzeum Bezalel wystawa akwarel, rysunków i grafiki angielskiej. W konsekwencji warunków wojennych Londyn, jak do niedawna Paryż, prawdopodobnie stanie się ośrodkiem kultury oraz, gdy zainteresowanie sztuką brytyjską wzrasta już choćby na skutek bezpośredniego zetknięcia się z nią tysięcy uchodźców z kontynentu, każda impreza, zbliżająca nas do niej i zapoznająca z dotychczasowym dorobkiem w najogólniejszych przynajmniej zarysach, jest szczególnie godna uwagi i uznania.

pokazem grafiki francuskiej, urządzonym w tym samym muzeum mniej więcej półtora roku temu. Brak dynamicznych i niespokojnych, ale bogatych w odkrycia poszukiwań, właściwych sztuce francuskiej, wynagradza w grafice angielskiej doskonale opanowanie techniki form, przyjętych po ich dojrzeniu już, z innych, obcych źródeł. Stąd prawdopodobnie pochodzi zupełne uwolnienie się od całej problematyki formy na korzyść samej estetyki jej wyrazu. Nie można tego oczywiście uogól-

własnemu stylowi i technice wystawione rysunki, ze znanej serii „mostów“, uderzają widza siłą wyrazu i szerokim dekoracyjnym traktowaniem tematu. Podobny charakter mają litografie Capleya i Hartrica oraz mezzotinty Lucasa, przy mocniejszym podkreśleniu formy i jej indywidualnych interpretacjach. Nie można tego powiedzieć o pracach A. E. Johna, który jest równocześnie grafikiem i malarzem angielskim niemal najlepszym z żyjących. Spośród wystawionych tu siedmiu prac najlepszym wydaje się autoportret w owalu. Przy sposobności warto wspomnieć, że A. E. John był niedawno portretowany przez Feliksa Topolskiego.

Zato w miedziorytach Williama Washingtona, raczej podziwiać można fotograficzną niemal doskonałość i benedyktyńską cierpliwość w wykonaniu, aniżeli dążność do szukania własnej formy wypowiedzenia. „House of Commons Chamber 1941“ pokazuje duże opanowanie techniczne i pewność kładzonej linii, przy pełnym braku pogłębienia rzeczy i związanej z formą problematyki. Znacznie lepiej już w zestawieniu z Washingtonem wypadają litografia i miedzioryty Sir Muirheada Bone, reprezentowane tutaj ósmioma eksponatami, bardzo ilustracyjnymi.

Charles Conder, którego zaledwie dwie kolorowe litografie zostały wystawione, należy do pokolenia artystów tak popularnych w Anglii ulegających wpływowi późniejszego romantyzmu.

Bodaj że najbogaciej wypadł na wystawie zbiór drzeworytów, co jest o tyle słuszne, że są one najbardziej charakterystyczną formą wypowiedzenia się grafiki angielskiej. Po przeszło półwiecznym zaniedbaniu drzeworytu, który stracił swój charakter użytkowy, odrodził się jako sztuka sama dla siebie, jako sposób wypowiedzenia się artysty, specyficzny dla tego rodzaju właśnie tworzywa. Niezwykle bujny rozwój tego rodzaju grafiki w Anglii w ciągu ostatnich dwudziestu lat tłumaczy się niewątpliwie tym, że drzeworyt poza możliwościami technicznymi, jakie daje artystyce, spełnia jeszcze specjalną misję. Jako bardziej przystępna do zrozumienia forma w przeciw-

w rysunku i opracowaniu technicznym, nie wychodzi on jednak poza ramy ilustracyjne.

Tematyka kwiatowa Johna Nasha jest doskonałym przykładem tego, jak duża może być skala wypracowania tej samej fabuły przez różnych artystów. Podczas gdy Nash w tychże samych wartościach technicznych daje pełną ekspresję i indywidualne w wyrazie oraz ciekawe ujęcie tematu, Getruda Hermes i Agnes M. Parker stylizację kwiatową ograniczają do dobrego jedynie opracowania technicznego i przesłodzonych form.

Osobną klasę stanowi Macnab, operujący mistrzowsko białoczarowymi kontrastami, przy zachowaniu pełnej dekoracyjności. Bardziej prosty w kompozycji, również mistrz w czarnobiałej plamie, to Eric Gill. Jego drzeworyty o tematyce religijnej odznaczają się jeszcze bogactwem różnego rodzaju linii, którą posługuje się artysta z dużą pewnością.

Bardzo ilustracyjny Hughes-Stanton, przy całej swej finezji i wyszukanej formie traktowania tematu, subtelnością ujęcia przypomina Mroźewskiego.

Najbardziej jednak przykuwającymi uwagę widza są drzeworyty Johna Farleigha oraz druki kolorowe Leona Underwooda. John Farleigh, zdobył sobie wysoką pozycję w świecie artystycznym W. Brytanii ilustracjami do „Black Girl“ Bernarda Shawa, trzy z nich są właśnie na wystawie. Zarówno technika, jak ujęcie tematowe, jest u Farleigha wnikliwe i wysoce indywidualne. Skala jego możliwości widoczna jest przede wszystkim w dużych rozmiarach drzeworytów „Melancholia“ i „Lilith“, gdzie artysta przestaje być ilustratorem, a temat jest dla niego tylko punktem wyjściowym do bogatych rozważań formalnych. Ilość problemów poruszonych i rozwiązanych w tych dwóch dziełach stanowi o ich artystycznej wartości. Artysta wydaje się być kontynuatorem tradycji francuskiej w połączeniu z właściwym Anglikom opanowaniem techniki. Pomimo bardzo intelektualnego ujęcia fabuły drzeworyty Farleigha dzięki dynamizmowi jego temperamentu artystycznego nie tracą nie tylko charakteru dekoracyjnego ale są niemalże czytelne dla widza.



JOHN FARLEIGH :
Melancholia

Teraz jednak, gdy wszystko wskazuje na to, że pod wpływem i w konsekwencji warunków wojennych Londyn, jak do niedawna Paryż, prawdopodobnie stanie się ośrodkiem kultury oraz, gdy zainteresowanie sztuką brytyjską wzrasta już choćby na skutek bezpośredniego zetknięcia się z nią tysięcy uchodźców z kontynentu, każda impreza, zbliżająca nas do niej i zapoznająca z dotychczasowym dorobkiem w najogólniejszych przynajmniej zarysach, jest szczególnie godna uwagi i uznania.

Jakkolwiek „English water-colours and drawings 16-th to 20th century“ oraz „English engravings“, oficjalne tytuły wystawy, wskazują na uwzględnienie wśród eksponatów dwóch gałęzi plastyki, to jednak należy wystawę potraktować jako być może niezamierzoną, ale logiczną całość. Akwarele bowiem i rysunki, pokazane tu, prawdopodobnie dlatego tylko, że pochodzą z przypadkowego prywatnego zbioru, choć nie dają w żadnym wypadku obrazu poziomu dorobku angielskiego na tym polu, są dobrym wprowadzeniem do części drugiej wystawy, obejmującej właściwą grafikę. Wyciąganie opinii o akwareli brytyjskiej na podstawie pokazanych szkiców do większych dzieł, przygotowań w formie rysunkowej oraz ilustracji, byłoby niezwykle krzywdzące dla tego rodzaju sztuki, specjalnie kultywowanej w W. Brytanii i stojącej rzeczywiście na wysokim poziomie. Nie pokazano nam takich akwarelistów jak J. S. Sargent, P. W. Steer, Cameron, Orpen, McEvoy, Charles Sims, W. Russel Flint, H. B. Brabazon, A. W. Rich i tylu innych.

To poważne zaniedbanie można darować inicjatorom dlatego, że głównym celem wystawy było zobrazowanie dorobku angielskiego na polu grafiki. Pomimo że i w tej dziedzinie pominięto artystę tej miary, jak A. Beardsley, z którego nazwiskiem w grafice związany jest koniec wieku dziewiętnastego w W. Brytanii, oraz jego rówieśnika Beerbohna, Gordona Craiga, Laurencja Hausmana, Moora, Johna Tandy i szereg innych, — to jednak pokazane tu dzieła dają nam niemal pełny obraz grafiki angielskiej XIX i początków XX w.

Podobnie jak malarstwo angielskie, tak samo grafika wolała dochodzić do wyników własną drogą ewolucji, pozostając w tyle za tym, co się działo w tym czasie na kontynencie. Uderza to już choćby w zestawieniu dzisiejszej wystawy z

niac na wszystkie oglądane na wystawie dzieła, niemniej jednak trudno uchronić się od podejrzenia doszukiwania się wpływu szkoły francuskiej. Przy tego rodzaju podejściu z tym większą satysfakcją notuje się trzy kolorowe litograficzne portrety, wykonane przez Williama Nicholsona.



ISAAC OLIVER :
Głowa gentlemana z epoki elżbietańskiej

Artysta ten znany ze swych „typów londyńskich“ i „almanachu dwunastu sportów“ oraz pierwszej wystawy (1894) plakatów, potraktowanych jako dzieła sztuki, — w ujęciu swym wyprzedza cały ruch zapoczątkowany i propagowany przez Matisse'a w Paryżu.

Sir Frank Brangwyn, piewca pracy w swej tematyce, jest zarówno doskonałym grafikiem jak i malarzem. Dzięki wypracowanemu przez niego



PAUL DRURY :
Cmentarz francuski

stwie do malarstwa, z jego masą nieuniknionych szczegółów, pozwala nawet nieprzygotowanemu na wniknięcie w istotę poszukiwań formy, skłaniając tym samym do dalszych rozważań w innych dziedzinach sztuki plastycznej.

Tak więc obok Adriana Allinsona, operującego szeroką plamą, którego „Amalfi“ może być również dobrze ilustracją książkową jak i dekoracyjnym akcentem wnętrza, jest Paul Nash, niemniej dobry

Bardziej jeszcze dekoracyjne od drzeworytów Farleigha są kolorowe druki Underwooda, którego łączy z Francuzami i podejście do tematu i niepokój w poszukiwaniu właściwej formy wypowiedzenia się artystycznego. Dzięki indywidualnemu potraktowaniu legendy dzieła jego są klasycznym przykładem harmonijnego połączenia tematu i formy.

Zygmunt Kowalewski

FAKTY I KOMENTARZE

Losy panturanizmu

Komunikaty Reutera doniosły o aresztowaniu w Turcji szeregu wyznawców ruchu panturańskiego, przeważnie profesorów, studentów i dziennikarzy, którzy uprawiali propagandę za pośrednictwem odezw i broszur, a ostatnio mieli nawet zorganizować prohitlerowską organizację spiskową. Komunikaty te mają swoją wymowę polityczną: świadczą one mianowicie, że rząd turecki w swoich — bardzo ostatnio wyraźnych — dążeniach do jak najlepszego ułożenia stosunków z ZSRR postanowił zniszczyć ten turecki prąd polityczno-kulturalny, który ze względu na swoje założenia ideowe — rasizm i ostre nastawienie antyrosyjskie — mógłby być najlepszą platformą organizacyjną niemiecko-tureckiego. Rząd turecki stara się w ten sposób zniszczyć ruch, który odegrał znaczną rolę w dziejach nacjonalizmu tureckiego i który w czasie ubiegłej wojny światowej w dużej mierze inspirował turecką politykę zagraniczną.

Rzecz zabawna, pierwszym ideologiem panturanizmu był Polak. W r. 1869 ukazała się w Konstantynopolu książka francuska „Les Turcs anciens et modernes”. Podpisana ona była: „Constant Bosenski”. Autor emigrował do Turcji w r. 1848. Nie był on jedynym obcoplemiennym heroldem panturanizmu. Ideologię tę głosił też np. powieściopisarz Tekip Alp, w życiu prywatnym Mojżesz Cohen. Najłatwiej szczyty się panturanizmem wśród Turków emigrantów z Rosji. Jeden z nich, Ismail Bej Gasprinski założył w r. 1883 nawet dla jego propagowania dziennik „Tergiuman”.

Głównym ideologiem ruchu panturańskiego, czy — krócej — turanizmu, jest Zia Gök Alp, zmarły w r. 1925 konstantynopolski profesor socjologii. Ideologię swą wyłożył Zia Gök Alp w wydanej w r. 1923 książce „Zasady nacjonalizmu tureckiego”, przedtem zaś propagował je razem z poetą Mehmedem Eminem w periodykach „Türk Jurdu” („Ojczyzna turecka”) i „İde”. Zasady te — to turkiński rasizm, namiętnie głoszone hasło prymatu narodów tureckich, ich lepszości i starzeństwa kulturalnego. Przeciż narodom tureckim — głosił — zawdzięczamy pierwsze znane w dziejach kulturalnego świata, powstałe w czwartym tysiącleciu przed Chr. państwa sumeryjskie. Nie trzeba, rzecz prosta, podkreślać, jak bardzo ryzykowna jest cała ta genealogia: wysuwano co prawda tu i ówdzie hipotezy o pokrewieństwie Sumerów z tymi szczepami tureckimi, których kolebką były stepy turańskie, ale dowodów na to nikt nie potrafił przytoczyć i wśród orientalistów hipotezy te się nie przyjęły.

Zia Gök Alp głosił wspólnotę kulturalno-rasową narodów tureckich. Teorie jego starał się urobić w zasady praktycznej polityki znany przywódca Młodoturków, Enver Pasza. Enver Pasza był w latach 1908—1910 attaché woj-

skowym w Berlinie; w tych latach ugruntowało się jego proniemieckie nastawienie. Nastawienie to wraz z teoriami panturańskimi wykrystalizowało się u niego w program wspólnej niemiecko-tureckiej walki z Rosją. Celem miało być stworzenie wielkiego panturańskiego mocarstwa. W r. 1914 Enver Pasza zostaje ministrem wojny. Tryumfem jego programu było przystąpienie Turcji do wojny po stronie Państw Centralnych. Klęska tych państw oznaczała też ruinę planów Envera Paszy.

Bardzo charakterystyczne są jego dalsze losy. Wypędzony przez Kemala Paszę, stara się założyć państwo tureckie w rosyjskim Turkiestanie. Kiedy mu się to nie udaje, dokonywuje osobiwej wolty: pojawia się na zwołanym przez Komintern do Baku we wrześniu 1920 r. Zjeździe Narodów Uciśnionych Wschodu i próbuje Zjazd zjednać dla swojej tureckiej polityki, reklamując się jako rewolucjonista. Nie powiodło mu się to. Niedługo potem ginie w Turkiestanie.

Jego następca, Kemal Pasza, był w swej polityce zagranicznej dużo ostrożniejszy. Ponieważ jedną z podstawowych zasad tej polityki było utrzymywanie jak najlepszych stosunków z ZSRR (co mu zresztą nie przeszkadzało w tępieniu komunistów u siebie, w Turcji), więc też wyrzekł się on panturanizmu jako hasła politycznego. Tureckie Stowarzyszenie Panturańskie zreformowało swój statut w r. 1927 w tym sensie, iż ograniczyło działalność swoją wyłącznie do terenu Turcji. Z politycznego przekształciło się w stowarzyszenie kulturalne, co tak jak obecnie komuniści w Stanach Zjednoczonych. Ale na życiu kulturalnym Turcji kemalistycznej idee panturanistów wycisnęły silne piętno. One to sprawiły, że na wewnątrz oficjalnie propagowano naukę o Turkach jako rasie wybranej, mającej szczególne zdolności państwowotwórcze i odgrywającej w historii specjalną, honorową rolę. Z ich posiewu wyrosły takie poglądy, jak te, które głosi wydana w r. 1931 oficjalna „Historia Republiki Tureckiej”. Czytamy tam: „Zaden naród w dziejach świata nie założył tak wielkich i tak licznych państw jak Turcy. Oni to założyli najwięcej księstw, królestw i cesarstw, poczynając od pierwszego państwa, znanego w historii kulturalnego świata. Zaledwie tylko jedno państwo tureckie zniknęło z powierzchni ziemi, natychmiast nowe państwo tureckie, albo nawet większa ich ilość pojawiała się na scenie życia”.

Czy rząd turecki, zamykając do więzienia panturanistów, przystąpi do zwalczania także i podobnych, mile głaszczących turecką dumę narodową nauk — wolno wątpić. Zdaje się, że likwidowany obecnie przez policję turecką panturanizm będzie miał prawo powiedzieć o sobie: non omnis moriar.

Dyskusja o „Basic English”

Jednym z rezultatów obecnej wojny powinno być ogromne rozpowszechnienie języka angielskiego jako języka międzynarodowego. Aby je ułatwić, rząd brytyjski już dzisiaj wszczął szeroko zakrojoną akcję, mającą na celu spopularyzowanie ułatwionej, uproszczonej formy angielszczyzny, znanej jako Basic English. Akcję tę poparł nie dawno autorytetem swym premier Churchill. Basic English mają propagować brytyjskie placówki dyplomatyczne i handlowe zagranicą, propaguje się go przez radio, British Council otwiera kursa Basic English, zapowiedziano szeroką akcję wydawniczą w tej uproszczonej angielszczyźnie, w Hollywood kręci się już film, w którym aktorzy przemawiają wyłącznie w Basic English. G. B. Shaw w liście do „Timesa” dowodzi, że twórca jego C. K. Ogden (profesor z Cambridge, autor sławnej, napisanej wspólnie z wybitnym krytykiem Richardem książką „Znaczenie znaczenia”) zasłużył sobie na tytuł lordowski i książęcą pensję.

Pojawiają się jednak także i ostre głosy protestu.

Co to jest Basic English? Basic (British-American - Scientific - International - Commercial) jest to język angielski o do ostateczności zrationalizowanym systemie gramatycznym i słownictwie, ograniczonym do 850 słów. Jeśli jakieś pojęcie nie da się wyrazić za pomocą jednego tylko słowa, wyraża się je za pomocą kombinacji tych 850 słów. Uczeń ma w ten sposób do opanowania stosunkowo skromną ilość słów, ale zato język jego staje się rozwekły: to co człowiek, władający normalną angielszczyzną, wypowie w jednym słowie, człowiek, mówiący Basic English, będzie musiał wypowiedzieć w dwóch, trzech, czasem czterech słowach. Zresztą, czy słownik ten może wystarczyć? Oto na przykład wydana w Basic English historia nauki A. P. Rossitera „The Growth of Science” (w znanej, popularnej serii Penguinów). Autor musiał na końcu dołączyć dodatkową listę około stu słów; są wśród nich i terminy specjalne naukowe, ale są i takie słowa, jak „clay” (głina) czy „liver” (wątroba), które ostatecznie mogą się — i to nieraz — trafić i w potocznej rozmowie.

Ale są i poważniejsze zastrzeżenia. Jak wszystkie sztuczne języki, zbudowane na pewnych zasadach racjonalistycznych, tak i Basic English może w pewnym zakresie być użytecznym narzędziem dla komunikowania myśli,

ale już wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi wyrażanie pewnych stanów uczuciowych, nastrojów — Basic English musi fatalnie zawieść. Tu właśnie całe bogactwo naszej synonimiki tak — zdawałoby się — nielogicznej i rozrzuconej zaczyna nabierać swego znaczenia i celowości. Jak można komuś nawymyślać w Basic English? Albo jak można w Basic English się oświadczyć? Nie trzeba mieć specjalnie dobrej znajomości angielskiego, żeby się zorientować, że np. „I knew you loved me” („Wiedziałem, że mnie kochasz”) to jednak co innego niż „I had knowledge that you had love for me”.

Wszystkie te czynniki sprawiają, że właściwie na Basic English nie dałoby się przełożyć naprawdę żaden utwór z literatury pięknej. I nie tylko dlatego. Literatura piękna dlatego jest piękna, że nacisk jest w niej położony nie tylko na to, co się mówi, ale i na to, jak się mówi; żeby to było z nerwem, z rytmem, żeby miało swoją symetrię. Najciekawsze, najżywsze utwory literackie przełożone na Basic English musiałaby dlatego bardzo łatwo stać się śmiertelnie nudne.

Ale to jeszcze nie wszystko. Przykład „I had knowledge that you had love for me” zaczerpnęliśmy z artykułu o Basic English H. N. Brailsforda, ogłoszonego w numerze z 1 kwietnia londyńskiego „The New Statesman and Nation”. Brailsford zwraca uwagę na to, że istnieje wielka kategoria ludzi, dla których nauczanie się Basic English byłoby wielką męką. Są to mianowicie ci wszyscy, dla których język angielski jest językiem ojczystym. Ludzie ci musieliby nie tylko wyuczyć się na pamięć listy 850 słów, używanych w Basic English, ale też i stale mieć ją w pamięci przy rozmowie z cudzoziemcem, który tylko Basic English opanował: inaczej bowiem przestaliby być rozumiani.

Basic English niewątpliwie jak ulatł opowiadałby tym wybitniekomu ludzkom, których opisuje Aldous Huxley w swym „Nowym wspaniałym świecie”. Być może, że będzie on pożyteczny w pewnych krajach kolonialnych jako stadium przejściowe. Wolno jednak wątpić, czy znajdzie on szersze zastosowanie. Ostatecznie, kultura angielska jest tak bogata, że dla zdobycia klucza do niej warto potrudzić się nad opanowaniem tego języka, w którym dziś około dwustu milionów ludzi na kuli ziemskiej naprawdę myśli, kocha się i kłóci.

Klub Książki Miesiąca

Z początkiem b. r. ilość członków amerykańskiego Klubu Książki Miesiąca (Book-of-the-Month Club) osiągnęła imponującą cyfrę sześciuset tysięcy. W związku z trudnościami w otrzymywaniu przydziału papieru Klub postanowił na czas wojny wstrzymać przyjmowanie nowych członków, ale ma nadzieję, że wkrótce po wojnie ilość jego członków wzrośnie do wysokości miliona. Kto zna dotychczasowy rozwój Klubu, temu nadzieje te nie wydadzą się przesadzone.

Tak więc Klub jest już dzisiaj wielką potęgą w amerykańskim życiu wydawniczym i literackim. Wprowadził on do Ameryki nowe metody masowego rozprowadzania książek, metody, które — być może — przyjmą się po wojnie i na kontynencie. Już choćby z tego względu warto mu się bliżej przyjrzeć.

Żołyciel jego, Harry Scherman, wyszedł z założenia, że przeciętny inteligentny czytelnik często dlatego nie czyta nowości wydawniczych, bo przytłoczony masowością bieżącej produkcji wydawniczej, nie ma ani czasu, ani możliwości, aby się w niej zorientować i wybrać sobie te książki, któreby mu odpowiadały. Scherman zorganizował więc komitet, złożony z pięciu wybitnych krytyków amerykańskich, którzyby czytelnika w tym kłopotie wyręczyli. Komitet ten dobrany został w ten sposób, iż krytycy ci dawali czytelnikowi gwarancję poważnego i rzeczowego wyboru, równocześnie jednak byli to krytycy, mający wyczuć gustów szerokiego czytelnika, nie polujący na rzeczy trudne, dostępne tylko dla wybrańców. Dzięki temu na liście książek, wybranych przez Klub, nie ma np. ani jednej powieści Williama Faulknera, niewątpliwie najwybitniejszego współczesnego powieściopisarza amerykańskiego, ale też i typowego pisarza dla elity.

Wybór książki dokonywa się w następujący sposób. Klub zatrudnia dziewiętnastu lektorów, których zadaniem jest przeglądanie całej bieżącej produkcji wydawniczej i przede wszystkim wyeliminowanie z niej tego wszystkiego, co czy ze względu na swój słaby poziom, czy też dla swego zbyt specjalnego charakteru nie nadawałoby się do wyboru. Reszta dostaje się następnie w ręce owych pięciu krytyków, którzy ostatecznie decydują, jaka książka ma zostać „książką miesiąca”. Większość spośród wybranych przez Klub książek to powieści, ale nie brak także i biografii, książek z dziedziny historii, polityki, nawet filozofii, nawet tomów poezji. Tak np. wśród książek, wybranych przez Klub, jest też i poważne dzieło Beardsów „Rise of American Civilization”, jednym zaś z jego ostatnich wyborów była sławna książka Waltera Lippmanna „U.S. Foreign Policy” (omówiona przez Stanisława Weinberga w numerze 4 (22) „W Drodze”).

Jednym z najcharakterystyczniejszych rysów Klubu jest to, iż nie obawia się on nazwisk nowych, nieznanych. Około 30 procent jego wyborów to bądź debiuty autorów amerykańskich, bądź też po raz pierwszy tłumaczone książki obcych autorów. W ten sposób Klub wprowadził na amerykański rynek książkowy cały szereg nowych nazwisk.

Oczywista, Klub może odgrywać poważną rolę w amerykańskim życiu kulturalnym tylko wtedy, jeśli przyjmujemy, że krytycy jego spełniają pracę swoją naprawdę uczciwie i

rzetelnie, nie licząc się z pobocznymi względami komercyjnymi. Otóż Klub potrafił w czytelniku amerykańskim wzbudzić zaufanie, że tak jest naprawdę. Znalazł się co prawda pisarz, John Macrae, który oskarżył Schermana o nieuczciwą propagandę i o narzucanie krytykom swoich wyborów. Scherman wyszedł jednak z opawów zwycięsko i Macrae musiał go publicznie przeproszać.

Książkę, wybraną przez krytyków, Klub bądź zakupuje u wydawcy w wielkim nakładzie, bądź też — jak ostatnio weszło w zwyczaj — wydaje sam w masowym nakładzie. Autor otrzymuje za każde 100.000 nakładu 12.500 dolarów honorarium, wydawca — tyleż. Książki są jednak, jak na nasze kontynentalne zwyczaje, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę ich wielki nakład — bardzo drogie: kosztują około 2 i pół dolara każda. Czasem, co prawda, dostaje się za tę sumę dwie książki. Ma to miejsce wtedy, kiedy wybór jury pada naraz na dwie książki: bądź dlatego, że krytycy nie mogli się zdecydować, którą książkę uznać za najlepszą, bądź też kiedy wybór pada na literaturę polityczną, a Klub nie chce się okazać stronniczym. Tak np. równocześnie z książką republikanina Hoovera „Challenge to Liberty” wybrano książkę demokraty Henry Wallace'a „New Frontiers”. Podobnie równocześnie z wyżej wspomnianą książką Lippmanna wybór padł na książkę S. V. Beneta „Western Star”.

Jedną z osobiwości statutu Klubu jest, że każdy z członków Klubu może wybranej książki, jeśli mu się wybór nie podoba, nie przyjąć i zażądać innej. Klub jest w ten sposób pod stałą kontrolą swych członków, przyczem — rzecz prosta — masowe zwroty musiałyby go doprowadzić do bankructwa. Otóż, rzecz ciekawa, trafiają się one bardzo rzadko. Trudno powiedzieć, czy trzeba to położyć na karb bierności czytelnika, czy też krytycy, wybierający książki dla Klubu, mają tak świetne wyczuć gustów swoich czytelników.

Kiedy Klub powstawał, liczne były głosy, zapowiadające, że rola jego będzie kulturalnie szkodliwa. Obawiano się, że kluby takie zniszczą księgarnie, obawiano się, co gorsza, zstandardyzowania produkcji wydawniczej: grożono, że wydawcy, zamiast ogłaszać wiele współzawodniczących ze sobą książek, ograniczą się do nielicznych tytułów w masowych nakładach, co w rezultacie doprowadzi do zubożenia produkcji wydawniczej. Obawy te okazały się nieuzasadnione. W r. 1926, kiedy Klub powstawał, w Stanach Zjednoczonych wydawano rocznie około 8.000 nowych książek; ostatnio ilość ta wzrosła do 11.000.

Powodzenie eksperymentu Schermana zaczęło do nasładownictwa. Z literackich najbardziej znany jest Literary Guild. Poza tym istnieje całe mnóstwo klubów specjalnych: katolickich i protestanckich, wolnomyślnych i komunistycznych, literatury naukowej i książek dla dzieci, miłośników poezji i powieści sensacyjnych. Żaden z nich jednak nie może się równać wziętością i znaczeniem z Klubem Książki Miesiąca.

Warto jeszcze dodać, że jednym z ostatnich wyborów Klubu jest powieść Kossak-Szczuckiej „Bez oręża”, która ukazała się w przekładzie angielskim p. t. „Blessed Are the Meek”.

Ideowa klęska młodzieży włoskiej

„Neue Zürcher Zeitung” w numerze z dn. 2 marca, w artykule p. t. „Giovinezza” pisze na podstawie głosów prasy neo-faszystowskiej o klęsce ideologicznej, wyrządzonej młodzieży włoskiej przez dwadzieścia lat wychowania faszystowskiego:

Dlaczego młodzież włoska zawiódła nadzieje, jakie pokładała w niej partia? Zawiodła je 25 lipca i 8 września 1943 r., zawiódła je po powrocie Mussoliniego do władzy, zawiódła je wreszcie, gdy raz jeszcze wezwano ją do walki przeciw Sprzymierzonym. Wielkie dzienniki republikańsko-faszystowskie przyznają się do tego i oplakują tę klęską otwarcie. Oto młodzież ta, wychowywana przez nauczycieli i kaprały faszystowskich, która przez tyle lat śpiewała Giovinezze, stała się dla faszystów przyczyną najgłębszego rozczarowania.

Na nauczycieli tych zrzuca organ „Brienza Republicana” pełną odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Wychowawcy ci, tymczasem, sfaszystowani do głębi, uczący mogli tylko tego, co rozkazywała partia. Optymiści, którzy zadowalają się małym, pocieszają się myślą, że koszarzy zape-

niły się młodzieżą, broniącą Rzymu. Zapominają, że „ochotników” tych trzeba zmusić groźbą kary śmierci do stawienia się do szeregów.

Na łamach „Stampa” Concetto Pettinato podnosi głos, by rzucić oskarżenie na reżim faszystowski. Wychowanie faszystowskie zawiadło; aby uczynić młodzież przedwcześnie dojrzałą w sprawach politycznych, pozbawiło ją najistotniejszego jej charakteru. Młodzież została zepsuta i zdeprawowana tą przeważającą w życiu narodu pozycją, jaką jej przyznał faszizm. Organizacje młodzieżowe nie dorosły do bohaterskiej koncepcji życia, lecz skończyły na życiu łatwym i braku skromności, cechującym dzisiejszą młodzież włoską.

Wychowawcy powinni zatem starać się nie „zmieniać dzieci w dorosłych”, lecz zachować młodzieży jej młodość. Ale co zrobić z ofiarami fałszywego wychowania, które, jak ich ojcowie, znali się przeciwnikami faszyzmu, zarzucając mu nieszczerze ich młodości, skarbem cenniejszego niż wolność? Czy pociągnąć je przed sądy, jako zdrajców i oszczerców reżimu?

S P R O S T O W A N I E

W poprzednim numerze „W Drodze” wskutek przedstawienia wierszy wkraść się przykry błąd do artykułu p. Henryka Zylberlasta „Lalka” Prusa. Mianowicie w szpalcie pierwszej str. 7 ostatnie wiersze brzmią:

„Stary Szlangbaum, lichwiarz, jest może mniej niemiły niż inni, — bo prostszy, Religijny, kapotowy Żyd. Bezwzględny, lecz dość lojalny. Umie być wdzięczny. Wokulskiemu

jest z pewnością życzliwy. Patriarcha, pionier owego równania w górę rodu Szlangbaumów.

Syn jego, Henryk Szlangbaum, to etap — otóż trzy ostatnie wiersze zacytowanego etapu znalazły się błędnie na dole szpalty trzeciej między wierszami: „polskich — i ciemny obraz Powiśla — amory”, a „syfilityka i prostytutki — nędze wielkiego”.

OPINIE ANGIELSKIE

Lotnictwo cywilne

Pewien pilot sowiecki opowiadał, że aby wytłumaczyć półdzikim mieszkańcom Kamczatki, co to jest samochód, musiał użyć porównania: „Sa mochód to jest samolot bez skrzydeł”. Ta anegdota najlepiej uzmysławia postęp, jaki się dokonał w dziedzinie lotnictwa.

Gdy słuchamy poszumów bombowców, przelatujących nad Londynem w drodze na Niemcy, lub gdy z lekkim wsluchujemy się w kanonadę obrony przeciwlotniczej podczas wznowionego obecnie „blitzu”, to mimowolnie myślimy także o tym, co też ten rozrost lotnictwa przyniesie ze sobą jutro. Czy będzie tylko postępem lotnictwa, czy też będzie postępem — tout court. Problem jest trudniejszy i bardziej ciernisty, niż się to entuzjastom i optymistom wydaje, i ma on dwa aspekty: techniczny i polityczny.

„Techniczny? Jakże? — zapyta zdziwiony czytelnik. — Obecnie, gdy zasięg samolotu wynosi tysiące kilometrów, gdy helikoptery wznoszą się niemal pionowo w górę i uniezależniają tym samym lotnika od wielkich przestrzeni lotniska, gdy pociągi ślizgowców przelatują przez Atlantyk, czy istnieją nierozwiązane problemy techniczne? A jeśli nawet są, to czy dotychczasowe osiągnięcia nie są wystarczające rewolucyjne, aby same przez się stanowiły o postępie? „Niestety, odpowiedź jest negatywna. Postęp techniczny i rozrost lotnictwa czasów wojny kusi do złudnych uogólnień. Postępu nie mierzy się dokonaniem wojennymi, bo warunki wojenne są tak odmienne od warunków normalnych, że trudno o tertium comparationis.

Węźmy np. kwestię hałasu. Warkot tysięcy bombowców, lecących na Berlin, może być podmiotem muzyki dla egzaltacji wojennej londyńczyków, ale hałas tysięcy maszyn pasażerskich, — a jest to niewielka liczba jak na możliwości Londynu, — unoszących się nad miastem w powszedni, pokojowy dzień, jest hałasem nie do zniesienia. A hałas helikopterów jest jeszcze bardziej przeźrząliwy. Nie wolno również zapomnieć o tym, że lotniska muszą być blisko centrum miasta, jeśli podróż samolotem ma się opłacać, bo dojazdy z lotniska do miasta i z miasta na lotnisko poważnie obniżają — zwłaszcza na krótkich dystansach — przeciętną szybkość podróży. Samolot, jak dotychczas, rozwiązuje tylko problem pasażerski, a nie rozwiązuje problemu frachtowego. Transportowce, wożące tanki i armaty, oraz bombowce z 6-cio tonowymi bombami są skutecznym narzędziem wojny, ale nie są ekonomicznym narzędziem pokojowym. Lotnicy wojskowi nie nadają się bez dodatkowego przeszkolenia do lotnictwa cywilnego. Od pilota transportowego czasów pokoju wymaga się większych kwalifikacji niż od pilota bojowego. Paradoxs, ale fakt! I jeszcze jedno. Postęp techniczny bywa czasami ograniczony świadomością podczas wojny. Wiele odkryć czy ulepszeń pozostaje w tękach wymalowanych; bo wymagały zbyt długiego czasu na wypracowanie lub zaburzyłyby zbyt szybko wydajność lub produkcję. Trudno o tych rzeczach mówić z przekonującą precyzją, bo są one otoczone mrokiem tajemnicy wojennej, ale to, co wiemy, nie upoważnia entuzjastów lotnictwa cywilnego do zbytnej pewności siebie i wniosków, jakie wysuwają.

Powyzsze problemy techniczne są drugorzędne w porównaniu z problemami politycznymi, ale nie mniej bez ich rozwiązania postęp jest niemożliwy. Samolot, o którym ojcowie nasi marzyli jako o narzędziu pokoju, stał się najstraszliwszym narzędziem wojny nie z powodu swej technicznej doskonałości czy niedoskonałości. Po prostu ludzkość nie dorosła politycznie do tego wynalazku. Coś jak ogień w ręku dziecka. Obecny system polityczny, który nie umie oderwać się od fetyszów „power-politics” wielkich mocarstw lub kompleksów suwerenności, jest największą przeszkodą rozwoju takiego lotnictwa cywilnego, którego istnienie zapewniłoby mogło pokój na świecie. Problem, jaki się rysuje, jest: „Jaki ustrój międzynarodowy jest potrzebny dla lotnictwa cywilnego?”. Zestawienie brzmi trochę niewspółmiernie, ale faktem jest, że choć stosunki międzynarodowe zależą od wielu jeszcze spraw, to jednak rozwój lotnictwa nadal im tak odmienny bieg i wywołał tak zasadnicze przeobrażenie, że może decydująco wpłynąć nie tylko na losy wojen, ale także na losy pokoju.

U podstaw problemów politycznych, związanych z lotnictwem cywilnym, są dwa współczynniki: samolot i baza lotnicza.

W podziale ról przypadła w obecnej wojnie Anglii i Rosji głównie fabrykacja maszyn bojowych, a Ameryce samolotów transportowych. Stwarza to w Anglii problem: „Jakimi samolotami będziemy konkurowali po wojnie z lotnictwem cywilnym Ameryki?”. a w Ameryce wywołuje zachcianki imperialistyczne i monopolistyczne, których główną przedstawicielką jest przystojna posłanka Kongresu Stanów Zjednoczonych, Clare Booth Luce. Niewesołe to wszystko, ale, niestety, autentycznie i dość szeroko zatacza kregi.

Drugim czynnikiem powikłał politycznych są bazy lotnicze. Tutaj Anglia ma przewagę, gdyż jej imperium, rozprzestrzenione po siedmiu morzach, stwarza mnóstwo baz lotniczych, która jest podstawą rozwoju międzykontynentalnych linii lotniczych. Ale Ameryka i Rosja mają możliwość bruzdzenia, nie mówiąc o tym że także małe państwa, położone na szlakach dróg powietrznych świata, mogą odegrać w przyszłości — tak jak niejednokrotnie odgrywały w przeszłości — dużą, hamującą rolę.

Od tych dwóch przyziemnych i prozaicznych spraw zależą losy lotnictwa cywilnego, tak jak od losów lotnictwa zależą losy przyszłego porządku świata.

Szkicując powyższy problem, czerpałem głównie wiadomości z książki Michael Younga p. t. *Civil Aviation* (The Pilot Press, 1944), która ukazała się jako siódmy numer w serii „Target for To-Morrow”. Seria ta, której tom 3-ci p. t. *Food and the People* omówił poprzednio w „W Drodze” (nr. 2 (20) z dn. 16 stycznia b.r.), jest ciekawą próbą poważnej popularyzacji naukowej. Redaktorem serii jest Charles Madge, jeden z twórców „Mass-Observation”, a komitet redakcyjny składa się z Sir Williama Beveridge’a, dr Juliana Huxley’a i Sir Johna Boyd Orr’a. Jest to wydawnictwo godne naśladownictwa. Niestety, nie znamyśmy w Polsce podobnych wydawnictw. Popularyzacja nie była dobrze widziana w sferach naukowych i dlatego chwytały się jej „fuszerzy”. Efekt był ten, że ludzie czerpali wiadomości o po-

ważnych sprawach naukowych, społecznych czy politycznych z dodatków L.K.C.

„Dobry Oenerowiec“

„Anglicy poważają ludzi dowcipnych. Polacy z reguły uważają ludzi dowcipnych za niepoważnych”. Jest jakaś chaplinowska melancholia w tym zdaniu, wyjętym z książki Karola Zbyszewskiego p. t. *Z Marszałkowskiej na Piccadilly* (Londyn, 1944 r.). Melancholia — nie pesymizm, tak, dowcip Zbyszewskiego jest ironią, a nie zgryźliwością.

Karol Zbyszewski należy do tych niewielu pisarzy emigracyjnych, których teraźniejszość jest postępem w stosunku do ich przeszłości. Stwierdzenie to jest tym bardziej konieczne, że oenowska przeszłość felietonisty „Prostu z mostu” nie wzbudza zaufania. Nie twierdzą, że p. Karol Zbyszewski zmienił swe poglądy. W rzeczy samej, nie wiem, jakie poglądy teraz wyznaje. Z zaściankowoci publicysty partyjnego wyszedł jednak na szeroką drogę literatury, gdzie wartości mierzy się intelektem, a nie doraźną i drobnostkową korzyścią polityczną. Wyjdzie mu to tylko na zdrowie. Powinien jednak jeszcze wiele spraw gruntownie przemyśleć i ostrożniej cedić utwory, które przeznaczają do publikacji. Publicyście, bawiącemu się w politykę, wybaczają się wiele. O tym Zbyszewski powinien pamiętać, jeśli zechce utrzymać się na Parnasie.

Na obecnie wydany tomik składają się krótkie anegdoty i aforyzmy, oraz opowiadania z cyklu „Żołnierze, których znam”. Z precyzją i zwieźłością, niezwykłą u pisarzy polskich, kreśli on w tych opowiadaniach szereg typów żołnierskich,

Jego anegdoty są również interesujące i błyskotliwe — nierytmowane fraszki. Mają one jednak jeszcze jedną cechę, — cechę, zaskakującą u Zbyszewskiego, — są moralizatorskie.

Są między nami ludzie, którzy patrzą na świat i sprawy wciąż jeszcze przez pryzmat przedwojennych grymasów i przesadów. Tacy, którzy wszystkim zapomnieli a niczego się nie nauczyli. Z wyżyn swego tupetu, sprytu w robieniu pieniędzy czy kariery, uważają oni „ludzi dowcipnych za niepoważnych” a moralizatorów prawdopodobnie za „bloody nuisance”. I tu oenowska przeszłość Zbyszewskiego daje mu poważny atut. Nie można go utracić najczęściej stosowanym ostracyzmem, jakim jest modny w walce z przeciwnikami politycznymi zarzut: „bolszewik”. W naszym żargonie politycznym nie oznacza to słowo bynajmniej komunizmu, lecz jakąś bliżej nieokreśloną odmienną poglądów, jakieś niekonwencjonalne podejście do spraw utartych, od których „wara” i „świętości nie szargać”. I właśnie do Zbyszewskiego pasowałoby jak ulane, aby go utracić, zatkać mu gębę, wykończyć niewygodnego faceta. Niestety, wiadoma przeszłość i ileś tam pałek w herbie — a może nawet jakieś nadal istniejące konsekwencje partyjne — wykluczają ten tak trafny epitet. Wobec tego okrzyczano go jako dowcipniścia i zaliczono tym samym do „ludzi niepoważnych”.

„Ale posłuchajcie!”

1) „Anglicy są zawsze przekonani, że ich rząd jest doskonały i złożony z rozumnych ludzi, ale nawet do głowy im nie przychodzi, przypisywać złą sytuację polityczną czy wygranie wojny — działalności rządu. Polacy nie mają nigdy żadnych wątpliwości, że ich rząd składa się z idiotów i

KRONIKA FILMOWA

DZIECI EUROPY

Wojna w nieoczekiwany sposób wprowadziła do tematyki filmowej świat, który dotąd nie był w filmie traktowany poważnie — świat dzieci. Młode talenty aktorskie w rodzaju Mickey Rooney’a Judy Garland, Deanny Durbin, a przedtem jeszcze Jackie Coogana zmuszały do produkcji filmów, zajmujących się życiem młodzieży przynajmniej o tyle, by dało to możliwość wykorzystania popularnych kilkunastoletnich gwiazd. Ale Jackie Coogan, czy Mickey Rooney spełniali przeważnie rolę satelitów większych sław, jak Chaplina i Wallace Beery, filmy z Deanną Durbin ograniczały się do lekkiej komedii i poszukiwania pretekstów dla jej popisu śpiewaczego, tak że właściwie dopiero cykl obrazów o życiu „Rodziny sędziego Hardy’ego” był pierwszą próbą poważniejszego ujęcia psychologii okresu dorastania.

Gdy więc życie młodzieży nie wchodziło w zakres zainteresowań filmu, pochłoniętego rewii, sensacją, dramatem miłosnym, tym bardziej nie było tam miejsce dla tak odrębnego tematu, jak życie dziecka. Dziecko, zawsze ładne, wypieszczone, stanowiło tylko rekwizyt sentymentalny rodzinnych dramatów, mimo że od balzakowskich czasów wiele się zmieniło i nowa progenitura nie stanowi już nieodłącznych konsekwencji romansu. Własne filmy miała tylko Shirley Temple. Gdy zjawił się Freddie Bartholomew, przerobiono dla niego kilka powieści, jak „Davida Copperfielda” i „Małego lorda”.

I dopiero teraz, wśród wojny, wśród nawału zdarzeń, przytłaczającej masy niezwyklej materiału dokumentarnego, wśród napięcia najważniejszych problemów naszej cywilizacji — zjawiają się obrazy, poświęcone całkowicie dziecku i dziecięcej duszy, jak gdyby szukano ucieczki ku temu wzruszeniu, które powinno się wydawać bezsporne i dopuszczalne nawet w czasach okrutnych. Filmy o dzieciach cieszą się ogromnym powodzeniem — może jest w tym swoista ucieczka widzów ku wspomnieniom, ku własnemu dzieciństwu, które z odległości często nabiera barw szczęścia, może zanieleżenie ujęcia dla uczucia litości i instynktów opiekuńczych, chęci przebaczenia. Realizacja filmowa powieści Llewellyna „How Green Was My Valley” była właściwie studium chłopięcych przeżyć; jeden z najpopularniejszych w r. 1943 filmów amerykańskich, „Leslie Comes Home”, jest historią małego chłopca, a z filmów sowieckich bezprzykładne powodzenie zyskał „Nikita”, również poświęcony dziecku. Może też i nie jest przypadkowe, że tak głośnej dziś aktorki, jak Greer Garson, użyto dziś w filmie, prawie że pozbawionym akcji, a oddanym całkowicie propagandzie opieki nad dzieckiem, równej sytuacji dla dziecka niślubnego, opuszczonego, dziecka bez nazwiska, („Blossom in the Dust”). W filmach wojennych częścią ogólnego dramatu jest dramat dziecka, jednym z celów, dla których naraża się życie — ocalenie dziecka. O dziecku, przychodzącym na świat wśród londyńskiego blitzu, nie zapomina angielski epos „In Which We Serve”, „Pied Piper” jest walką o ocalenie dzieci, o wydarcie ich z europejskiego piekła. Przystanią dla nich i rajem będzie Ameryka. Do Ameryki jednak nie wiele dzieci się dostało i dostanie — były i takie, które zginęły na stordowanym przez Niemców „City of Benares” — olbrzymia większość przeżywa dziś wojnę, trwa w nędzy, chowa się wśród terroru, i najsłabszym uczuciem, jakie w sobie hoduje, jest reakcja na strach i służalstwo, czyli niewiastę.

Jeśli się więc tyle dyskutuje o „dzieciach Hitlera” i poświęca im specjalne filmy, to obok tego jest zagadnienie o wiele bliższe i o wiele rozleglejsze: sprawa dzieci z krajów okupowanych, „dzieci Europy”. Czastka ich znalazła się na emigracji, trwają tam w fikcji stanu przedwojennego, uczą się o Europie sprzed r. 1939, choć do tamtej Europy z pewnością już nie wrócą. Jeśli wstrząsy społeczne są w proporcji do wstrząsów wojennych, do lat nędzy i ostatecznego zastrzeżenia walki o byt, to wystarczy przymierzyć skalę wojny poprzedniej do obecnych zmagających i przypomnieć sobie okres anarchy i fałd rewolucji, jaka popłynęła po r. 1917.

Ludzie dojrzały wrócą na kontynent, ażeby — być może pod koniec życia — mieć wizję spokoju, ludzie młodzi będą budować nowy kształt świata, ale dopiero dzieci będą mogły z niego korzystać i będą mogły go wypróbować.

Wydaje się wprawdzie, że krzyzys światowy

przebiega dziś i gwałtowniej i szybciej, ale bodaj że także sięgają głębiej w pokolenia swymi skutkami. O dzisiejszej wojnie będzie pamiętać z pewnością generacja, która dziś jeszcze jest w okresie dzieciństwa. Dziecko bowiem współczesne przeżywa wszystkie okropności najazdu, całą grozę frontu w bombardowanych miastach — w jego oczach bomby rozrywają rodziców i walą domy. Jeśli ludzie dorosli noszą w sobie urazy i po nocach budzą się z krzykiem, cóż mówić o dzieciach? Cóż powiedzieć o sierotach?

Wchodząc w obręb linii frontu, dziecko weszło także w zakres filmu wojennego. W „Pied Piperze” jest przejmująca scena, gdy niecierpliw gentleman angielski irytuje się, iż pewien chłopiec nie odpowiada mu na pytania. Stoi osłupiały, z szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc przywrócić kontaktu z otaczającą go rzeczywistością. Kolejdy małego objaśniają: on nie umie mówić... — Jak to, w tym wieku? A wczoraj umiał? — Tak, wczoraj umiał, dziś bomba rozszarpała mu ojca i zabiła matkę...

W pojęciu człowieka dorosłego, przyjmującego schematycznie, że tragedie są tylko udziałem ludzi dorosłych, a dzieci mają co najwyżej dziecięce zmartwienia i przyszłość przed sobą, często nie mieści się zrozumienie dla wielkości dramatu, przeżywającego przez dziecko. Interesujący obraz „Journey for Margaret” opowiada o dziewczynce, którą dwukrotnie przybrani rodzice uznawali za trudną do prowadzenia i zwracali zakładowi. Mała wróciła do sierotki dla ofiar londyńskiego blitzu, jak zawsze — przerażona i zamknięta w sobie, jak zawsze — z uporem trzymająca w rękach zabawkę, do której była fanatycznie przywiązana: model bomby. Posiadanie wzoru śmiercionośnego narzędzia dawało dziewczynce przekonanie, iż uwieźliła w swych drobnych dłoniach okrutną śmierć, iż ta bomba nikogo już więcej nie zabije. Próby rozłączenia jej z zabawką, z którą nawet syiała, mogły być w jej odczuciu tylko zamachem ludzi złych, pragnących pościć narzędzie zniszczenia.

Dziewczynka, przyjęta z powrotem do sierocińca, ma nieustanny nerwowy gest podnoszenia zaciśniętych pięścisk do oczu. Gest niezrozumiały dla lekarza, niezrozumiały dla ludzi, którzy próbowali małą adoptować. Sekret tego gestu, a zarazem wywiązującego się kompleksu rozwiązuje intuicja wychowawczyń: dziecku narzucano t. zw. dobre wychowanie, a że jego przedwojenny konwenans zabraniał płaczu i krzyku, więc karcono dziewczynkę za nieustanne szlochanie i spazmy. Tu dopiero może się ona wypłakać do woli, wykrzyknąć swój strach, zwierzęce przerażenie wobec huk, płomieni i śmierci. We wspaniałej scenie, niepospolicie zagranej przez maleńką aktorkę, dziewczynka, wyjąc nieludsko — doznaje szczęścia, doznaje wyzwolenia kompleksu i powierzchownego przynajmniej uspokojenia. Oto jest dzieciństwo naszych czasów.

Jak w większości amerykańskich filmów, zajmujących się zdarzeniami wojennymi w Europie, akcja kończy się odlotem samolotu na drugą półkulę. Ocean dzieli piekło i raj, świat nieszczęść i świat dobroty, ziemskie niebo, skąd czasami zstępuje na nasz kontynent dobry duch w postaci Amerykanina o tklwym sercu i zabiera do siebie sierotę, niezem anioł w bajce Andersena, litośnie unoszący ciężkie dziecko do nieba.

Ale dzieci z europejskiego piekła nie potrafią żyć w amerykańskim niebie. Muszą się dopiero nauczyć; film zamyka wymowna scena spotkania z Nowym Jorkiem — ukazające się w oddali miasto bije tysiącem światła i blaskiem neonów, jest to dla dziecka zjawisko niezwykle, niezrozumiałe i niebezpieczne; nie pamiętają oświetlonego miasta, nie rozumieją jego sensu, chowają się przed nim w trwodze w ramiona opiekuna. Normalne życie jest im już obce, muszą do niego dopiero stopniowo powracać, stopniowo odzyskiwać kontakt ze światem, jaki przetrwał się w chwili, gdy nagle zniknął dom, rodzice, dziecienny pokój, zabawki...

Ten motyw także został uwzględniony we wzruszającym obrazie o Margaret — dziecku zbombardowanego Londynu. Reporter — Amerykanin, odwiedzający w sierocińcu dzieciaka, jakiego uratował spod gruzów, przynosi mu małego, pluszowego psa — jest to jedyny przedmiot, jedyny kształt materialny, jaki pozostał z dotychczasowej pomocy, której się ono uczepli, wracając do stanu czasowego życia. Będzie on służył dziecku jako

że jest okropny, ale świadce wierzą, że obfity urodzaj albo trzęsienie ziemi są zasługą lub winą rządu.”

2) „Każdy Polak namiętnie chce iść do woj-ska. Ledwie w nim jest, zaczyna straszyć na nie wyrzekać. Kiedy z niego wyjdzie, pławi się we wspomnieniach o nim do końca życia.

Anglik nie ma najmniejszej ochoty iść do woj-ska. Skoro się w nim znajdzie, bardzo je sobie chwali. Gdy się z niego wydobędzie, przestaje o nim mówić raz na zawsze.”

3) „W ciągu ostatnich 250 lat Polacy prowadzili kilkanaście wojen i przegrali wszystkie oprócz jednej (z Sowietami w r. 1920). Ale stwierdzają z dumą: — Co jak co, ale wojskowość mamy w krwi i świetnie umiemy wojować!

W ciągu ostatnich 250 lat Anglicy prowadzili kilkadziesiąt wojen i wygrali wszystkie oprócz jednej (z Ameryką w r. 1782). To też mówią smutnie: — My, którzy, niestety, nie mamy żadnych talentów wojskowych i tak rozpaczliwie nie umiemy wojować...”

4) „Rozstając się z gościnną rodziną angielską, Polak ofiarował jej na pamiątkę książkę p. t. „Wielkość narodu polskiego i jego decydująca rola na świecie.”

Wzruszeni Anglicy podarowali Polakowi książkę p. t. „Smieszność i przywary narodu angielskiego.”

Wątpię, czy tępowłowym bubkom, co z Marszałkowskiej przeszli się na Piccadilly, nie wiedząc kiedy, jak i poco, moralizatorstwo Karola Zbyszewskiego pomoże. Ale to nie jest argumentem przeciw moralizatorstwu.

H. S. Dominik

normalnego z tego osłupienia i przerażenia, w jakie zostało wtrącone utratą wszystkiego, co dotąd składało się na jego dziecięcy świat.

Jakie będą dzieci, które przeżyły podobny wstrząs? A zwłaszcza, jakie będą dzieci polskie, dotknięte tym silniej od innych? Prowadzona do tej chwili przez film amerykański propaganda na rzecz opieki nad sierotami wojennymi i adoptowania ich przez bezdzietne małżeństwa ma dla polskiego widza szczególne znaczenie.

Trafia też do nas może bardziej niż do innych także i druga forma, w jakiej dziecko zyskuje miejsce w filmie wojennym. Niemcy nie wahają się przed rozstrzelaniem dzieci, przed wymuszeniem z nich zeznań, przed używaniem ich jako nieświadomych szpiegów i denuncjatorów. Dziecko zmuszone jest do walki, uczestniczy do obrony losu swoich rodziców. Uczy się chytrłości i determinacji, zemsty i poświęcenia.

Znamienne, że w obrazach ruchu podziemnego, a zwłaszcza w filmach o Francji, zespół bohaterów podziemia składa się przeważnie z księdza, nauczyciela i dziecka. To są psychiki oporu, wiary i nadziei. W tych trzech postaciach wciela się zaprzeczenie ideału hitlerowskiego w człowieku wierzącym w niepodległość duszy ludzkiej, w człowieku szukającym i uczącym prawdy, i wreszcie w dziecku, działającym instynktownie. Dziecko w tym gronie jest chyba najbardziej symboliczne, mimo że i kościół i szkolna katedra przemawiają do nas symbolami; tak jak niepodobna wyobrazić sobie bez wewnętrznego dręszczy sytuacji, w której dzieci stawały po stronie najeźdźcy, tak samo w ich dziecięcej wierności widzimy przecucie przyszłych jaśniejszych czasów.

Hoła dziecku spod okupacji, dziecku Francji oddaje scena z bretońskich wsi w filmie „Assignment in Brittany”. Ośmiu ludzi, konfrontowanych z angielskim wysłannikiem, ma przysiąc lub zaprzeczyć, iż widział go w kompromitującej i demaskującej sytuacji. Przyznanie równa się wydaniu w ręce Niemców, kłamstwo zaś grozi karą śmierci. Dorosli odważnie powiedzieli „nie”, los wszystkich zawisł od zeznania niespełna dziesięcioletniej dziewczynki. Krótka chwila oddaje jej wybór między strachem a obowiązkiem — dziecko zaprzeczyło, zaprzeczyło z całą świadomością przyjęcia na siebie wyroku śmierci.

Dzieci hitlerowskie wychowane są dla walki, w duchu niemieckiej wyższości, pogardy dla innych, antysolidaryzmu europejskiego. To mści się — z rosyjskiego frontu przychodzą listy wojskowej młodzieży, skarżące się na utratę dzieciństwa, na skrócony sztucznie okres młodości. Dzieci narodów uciemnionych z pewnością nie mają już dzieciństwa, ani młodości. Co im przyniesie zwycięstwo, jaką da świeżą wiarę, jakie zapewnienie o twórczym sensie życia? Jaki będzie ten program szkolny, dla którego przyszłości dziś te dzieci giną?

W filmie „This Land Is Mine” wielki aktor, Charles Laughton, jako nauczyciel francuskiej szkoły powszechnej ostatnią swą lekcję przed aresztowaniem poświęca nauce Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Czyta ją dzieciom jak elementarz wolności — nie zdążył doczytać do końca, ale miejsce jego zajęła inna nauczycielka, która podejmuje przerwany wykład...

Jan Martyka

W niniejszym felietonie wspomniane są cztery dawniejsze filmy: „How Green Was My Valley” („Jak zielona była moja dolina”) — z W. Pidgeonem i M. O’Hara, „Pied Piper” („Szczurołap”) z Monty Wooley, „In Which We Serve” („Na którym służymy”) — obraz N. Cowarda, poświęcony flocie angielskiej, „Blossom in the Dust” („Kwiecie wśród pyłu”) z Greer Garson i W. Pidgeonem, parą wykonawców głównych ról w „Mrs. Miniver”. Z filmów ostatnio wyświetlanych w Palestynie wymienione są: „This Land Is Mine” („Moja jest ta ziemia”) — film z życia okupowanej Francji z Ch. Laughtonem, M. O’Hara i G. Sandersem, „Journey for Margaret” („Podróż dla Małgorzaty”) — film o dzieciach londyńskich z R. Montgomery i Lorraine Day, oraz film wojenny, typu sensacyjno-szpiegowskiego „Assignment in Brittany” („Przydział w Bretonii”) z aktorem francuskim Pierre Aumont i Susan Peters, znaną z ładnego epizodu w „Random Harvest”. Wszystkie te obrazy są warte zobaczenia.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Brak nam jeszcze i perspektywy i pełnego materiału faktycznego dla właściwej oceny zwycięstwa polskiego pod Monte Cassino. Nie ulega jednak już dziś wątpliwości, że zwycięstwo Monte Cassino przejdzie do historii tej wojny jako jeden z najwspanialszych i najbardziej bohaterstkich jej momentów. Żołnierz polski zdobył tu pozycję doskonałą ufortyfikowaną, z natury bardzo obronną i obsadzoną przez doborowe oddziały niemieckie. Zdobył też właśnie pozycję, na której zalał się poprzednia ofensywa gen. Clarka. Był przez dwa dni w ogniu, Złoty dywizjon wielki, wielkiego ducha bojowego, odwagi, woli zwycięstwa. Złoty był w atmosferze politycznej bardzo dziś dla nas wszystkich przykrej i trudnej.

Równocześnie niemal przyszło nowe omówienie konfliktu polsko-sowieckiego w mowie premiera Churchilla. Poprzednia jego mowa była dla nas wszystkich wielkim rozczarowaniem. Ostatnia nie wniosła do sprawy nowych momentów. Nowym tylko i dosyć niespodziewanym było oświadczenie, że sprawy między Rosją a Polską nie przedstawiają się tak źle, jakby to mogło wyglądać na zewnątrz. Widocznie miał Churchill powody, które go upoważniały do złożenia takiego oświadczenia.

Odnaczący się też w ofensywie włoskiej Francuzi. Tym wszystkim, którzy po klęsce Francji z r. 1940 mówili o jej końcu i o lekkiej rękę potępiali w czambuł Francuzów za zniechęcałość i upadek ducha bojowego — już Bir Hakein za- dało klam. Niemniej wymowne jest świadectwo ostatnich zwycięstw francuskich na froncie włoskim. Przypominają one, że przecież Francja w tamtej wojnie światowej była głównym zwycięzcą. Każą, wierzyć, — że — z niewątpliwie ciężkiej — klęski roku 1940 i z — niewątpliwie bardzo poważnych i groźnych — następstw tej klęski, Fran- cja potrafi się wyleczyć, a i to może nawet szybciej, niżby się to pesymistom wydawało.

Wielu z nas ciągle jeszcze żyje pod wrażeniem tego strasznego rozczarowania, jakie przyniósł r. 1940. Nie powinno nam to jednak zasłaniać tego faktu, że silna i odrodzona Francja jest nieodłącznym czynnikiem powojennej równowagi w świecie i że bez takiej Francji kontynent euro- pejski nie będzie mógł odzyskać należnej mu roli w politycznym koncercie świata.

W obliczu klęski propaganda dra Goebbelsa pociesza dziś Niemców, że front włoski ma tylko drugorzędne znaczenie. W pewnym sensie ma ona rację. Teren włoski nie pozwala na rozwinięcie

wielkiego frontu, któryby mógł doprowadzić do zniszczenia armii niemieckiej, a poza tym Włochy to ślepa ulica. Toteż na pewno główne uderzenie na Niemcy nie z Włoch przyjdzie.

Tym niemniej łatwo argument propagandy niemieckiej odwrócić przeciwko niej samej. Czy- telnicy prasy czy słuchacze radia niemieckiego mogą się bowiem łatwo spytać, jakże to: na fron- cie rosyjskim panuje spokój, armia inwazyjna gen. Eisenhowera nie rozpoczęła jeszcze swoich dzia- łań; Niemcy mają w tej chwili do bronięcia tylko jeden front lądowy, i to krótki — we Włoszech; bronią się na pozycjach górskich, a więc z natury do obrony łatwych; mieli czas, żeby na pozycjach swych się umocnić i czas ten wykorzystali; duch bojowy wojsk tych ciągłe jeszcze jest dobry; ich linie zaopatrzenia są krótsze od linii zaopatrzeń Sprzymierzonych; — dlaczegoż więc są systema- tycznie wypierani z jednej pozycji za drugą? — Odpowiedzi na to pytanie darmoby kto szukał w audycjach niemieckiego radia, a jest ona bardzo prosta. Na imię jej: wielka przewaga wojenna Sprzymierzonych. Dlatego zwycięstwo włoskie to dobry omen dla armii inwazyjnej.

Postępy ofensywy włoskiej stwarzają możli- wości opanowania przez Sprzymierzonych w nie- długiej przyszłości Rzymu. Zdobyte Rzymu poza dywidendami natury prestiżowej — propagandowej przyniosłoby ustabilizowanie włoskiej sytuacji po- litycznej oraz wypłynięcie Watykanu jako aktywnego czynnika w polityce obozu Sprzymierzonych. Jeśli idzie o sprawy włoskie, to warto podkreślić, że w ostatnich dniach zaczęły pojawiać się regu- larne komunikaty o działalności oddziałów party- zantów w północnych Włoszech. Oddziały te ma- ją jakoby związać sześć dywizji niemieckich. Cyfra ta wydaje się być przesadzona, ale sam fakt sta- łego ogłaszania takich komunikatów wraz z wia- domościami o stworzeniu anglo-amerykańsko- włoskiego dowództwa, mającego kierować ich działaniami, mówi dużo: jest to równoznaczne z manifestowaniem przyjęcia Włochów do grona na- rodów Sprzymierzonych.

W ostatniej mowie prem. Churchilla w Izbie Gmin zasługują na podkreślenie dwa przede wszystkim momenty. Premier brytyjski odsonił brutalnie kulisy rokowań brytyjsko-tureckich. Wyjaśnił tajemnicę, iż Turcja miała w lutym — marcu przystąpić do wojny, oraz że wskutek nie- dotrzymania przez nią tego zobowiązania Sprzy- mierzeni cofnęli jej dowóz sprzętu wojennego. Ujawnił, że Turcy w obliczeniach swych nisko o-

ceniali znaczenie i możliwości zwycięstw sowiec- kich.

Czy oświadczenia te należy rozumieć jako zam- knięcie rachunków, czy też raczej jako nową próbę nacisku na Turcję? Warto przypomnieć, że do najczęstszych posunięć dyplomatycznych Bismarcka należały te, które robiły wrażenie, jakby kanclerz, nie bawiąc się w żadną dyplomację, prosto i brutalnie rąbał swoją prawdę. Oświadcze- nie, iż nieprzystąpienie Turcji do wojny może o- słabić jej pozycję dyplomatyczną po wojnie, brzmiało: po zakończeniu działań wojen- nych zostaniecie w sprawie Cieśniny sam na sam z Rosjanami. Turcy niczego tak się nie boją, jak tego sam na sam, ale z drugiej strony mogą się pocieszać świadomością, że w sprawie Cieśniny zaangażowane są istotne interesy Im- perium Brytyjskiego w basenie morza Śródziem- nego. Na wszelki jednak wypadek starają się oni już teraz o jak najlepsze ułożenie swoich stosun- ków dyplomatycznych z ZSRR.

Zaskoczyło londyńską prasę i wywołało kilka ostrych replik bardzo pojednawcze oświadczenie Churchilla w sprawie hiszpańskiej. Ostatecznie nie tak dawne są jeszcze „piękne dni Aranjuezu” z r. 1940, kiedy po całej Hiszpanii rozbrzmiewały o- krzyki falangistów nie tylko domagających się Gib- raltaru i utraconej w r. 1898 Kuby, ale nawet szy- kujących się do rozbioru Stanów Zjednoczonych i głośno formułujących swoje roszczenia do Kali- fornii, Teksasu i Florydy. Samym jednak krzykiem nikt jeszcze nigdy imperium nie zdobył, przykre perypetie, w jakie się wpłatał Duce, były dla Caudilla ostrzeżeniem, a ten koń, na którego w swych imperialistycznych marzeniach stawiał, po- lał w Rosji nogi.

Toteż — bardzo contre coeur — przyszło gen. Franco wycofywać się z zajętych pozycji. Sprzy- mierzonemu udało się odnieść w Hiszpanii ostatnio szereg poważnych zwycięstw dyplomatycznych. Zlikwidowany został konsulat niemiecki w Tange- rze, wielkie zapasy wólfarmu nagromadzone są co prawda blisko granicy francusko-hiszpańskiej (jako stała groźba dla Sprzymierzonych), ale gra- nicy tej jednak nie przekroczyły. Niemcy zaś nie- których rządzonych metali tak gwałtownie potrze- bują dla swego przemysłu wojennego, że sprowa- dzają je aż łodziami podwodnymi. Gotów ktoś co prawda przypomnieć, że i Turcja, tak surowo w mowie Churchilla potraktowana, wstrzymała wy- wóz chromu do Niemiec. Zawsze jednak większa jest radość z jednego nawróconego grzesznika... ww.

Co ma przynieść zwycięstwo?

W styczniowym zeszyty magazynu „The American” znajdujemy artykuł Harry Hopkins’a p.t. „What Victory Will Bring Us”. Jego wy- jaśnienia są podwójnie ciekawe, gdyż z jednej strony jest on prawą ręką Roosevelta, a przynaj- mniej z nią uchodzi, a z drugiej strony treść tego, co uważał za potrzebne napisać, rzuca świat- ło na sposób myślenia przeciętnego Amerykanina, któremu usiłuje rozproszyć wątpliwości. Charak- terystyczne podtytuły artykułu brzmią: „Czy mamy się obawiać Brytyjczyków i Rosjan?”, „Czy po wojnie zdołamy zachować wysoki poziom życia naszego narodu?”

„Wypłyniemy z tej wojny jako najbogatszy i najsilniejszy naród świata, — zaczyna Hopkins swoje wywody. — Będziemy mieli największą flotę na siedmiu oceanach, największą armię i lot- nictwo. Kraj nasz nie będzie pod żadnym wzglę- dem naruszony. Nasza zdolność wytwórcza będzie większa od połączonych zdolności wszystkich sprzymierzeńców. W chwili zakończenia wojny bę- dziemy mieli żywności i zaopatrzenia o wartości co najmniej sześciu miliardów dolarów. Zapasy su- rowców mimo drenażu przez Lend and Lease będą wystarczać na pokolenia. Nasze demokratycz- ne instytucje pozostaną niekłnięte. „Zakończymy ten barwny obraz pomyślności, pisze — „zasiadzie- my do stołu obrad jako najpotężniejszy partner” — i stawia retoryczne pytanie: „czy mamy się za- chować jako chytry kupiec (sharp trader), czy jak- o kłusownik (backwoodsman), podejrzliwy wobec cudzoziemców, gotowy w razie niebezpieczeństwa skryć się w gęstwinie, czy jako łagodny filantrop z kompleksem niższości, i chcieć za wszelką cenę uchodzić za pocziwca. Nic z tego nam nie odpow- iada — stwierdza — musimy zasiąść jako oświe- ceni businessmeni. Musimy urządzić świat zgod- nie z naszym interesem, ale nie dla naszego tylko zysku, lecz sprzyjając dobru wszystkich. Musimy być świadkami naszej siły i nie wahać się jej użyć dla prawa i sprawiedliwości.

Walczymy razem ze Sprzymierzonymi Na- rodami i pokój musimy zawierać razem. Ale każ- dy Amerykanin w sercu mówi: pracowałem i po- nosiłem ofiary. Czy moi przywódcy spojrzą póź- niej na mój interes? Chcę widzieć wszystkie na- rody wolne, ale nie chcę ściągać swej koszuli z grzbietu. Nie jestem misjonarzem, lecz głową do- mu. Czy pokój będzie korzystny dla mnie i moich sąsiadów?”

„To są inteligentne pytania — powiada Hop- kins, — ale inne narody o to samo pytają swoich przywódców. Trzeba dać wszystkim pozytywną odpowiedź, albo świat pograży się w rewolucję i ogarnięty zostanie przez potop...” Odpowiedź wy- maga światowej kooperacji: „Amerykanin pyta mnie: ale jakże możecie współpracować z Rosją? Oni świat zboliszewizują. Wy, chłopcy z Waszyng- tonu, jesteście ślepi. My wolimy zdobyć się na większy wysiłek i sami prowadzić wojnę niż ra- zem z nimi”.

Hopkins przyznaje, że Rosja ma odmienną filozofię polityczną od USA. W dłuższym wywo- dzie usiłuje przekonać czytelnika, że Rosja jako kombatant jest potrzebna. Nie waha się też użyć tak naiwnego argumentu, jak podkreślenie finan- sowych korzyści współpracy z Rosją, które mają się wyrazić w tym, że od razu w pierwszym ro- ku po wojnie Rosja zakupi w USA materiałów elektrycznych, maszyn, sprzętu kolejowego za sumę 750 milionów dolarów, i że tak będzie za- kupować przynajmniej przez 10 lat, gdyż po zniszczeniach wojennych będą musieli się odbu- dowywać. „Na to — pisze — odzywają się w Ameryce liczne głosy: „Tak, to wy chcecie od- budowywać potwora, który nas zniszczy”. W od- powiedzi argumentuje: „niszczycielski potwór

może urosnąć z bied i ucisku, a nie przy kie- rownictwie naszym i innych narodów. Za- możne, zdrowe, rozwijające się narody nie ata- kuja. Logika więc mówi, że ażeby zachować bez- pieczeństwo naszego dobrobytu, musimy innym pomagać, ale — dodaje — musimy mieć potężną armię.

W sprawie Chin nie uważa za potrzebne du- żo pisać, podaje, że Chiny także zakupować będą po wojnie za jakieś 250 milionów rocznie i poza tym, że długo jeszcze żadne niebezpieczeństwo z ich strony nie może grozić. Wolne i zamożne Chiny, zdaniem jego, to lepszy i zamożniejszy świat. Dłuższe natomiast wywody poświęcone są Anglii. Hopkins pisze, że w Anglii niektórzy ludzie mówią: „Strzeżcie się Yankes’ów przy sto- le obrad, oni ściągną z nas skórę. Rozumując w ten sposób, część Anglików — wyjaśnia — opiera się na praktykach pewnych naszych bankierów i businessmenów z przeszłości. Teraz będzie ina- czej, bo zgodnie umówimy się z Anglikami o ba- zę na całym świecie”. Jako przykład dobrego porozumienia podaje 99-letnią dzierżawę przez USA angielskich baz na morzu Karaibskim, o któ- rą umowa zawarta została już w czasie tej woj- ny. Zjednoczone lotnictwo i flota będą niezwy- ciejone. Zdaniem Hopkinsa Imperium Brytyjskie nie zostanie osłabione przez to, że zgodnie z przy- rzeczeniami i rzeczywistością potrzeba po wojnie Indie uzyskają wolność całkowitą. Jako przykład, że Stany Zjednoczone także poczuwają się do obowiązku naprawienia niesprawiedliwości, podaje, że Puerto-Rico, w którym dotąd byli przez USA eksploatowani tubylcy, uzyska pełne równo- uprawnienie.

Przechodząc do Niemiec, wyraża opinię, że chociaż, oczywiście, z Hitlerem nie można współ- pracować, to jednak rozbrojony naród niemiecki będzie musiał się znaleźć w orbicie światowej. USA będą musiały się przyczynić do odbudowy całego świata. „Obywatele USA — pisze — pytają się jednak, czym świat będzie nam płacił. Różne narody mają surowce, które nam są potrzebne. Ludy europejskie będą pracować dla własnych potrzeb, tak jak teraz muszą pracować dla Niem- ców. Niektóre narody już teraz są w stanie czę- ściowo płacić, np. Francja ze swoich posiadłości dostarczała nam surowców za 125 milionów dola- rów. Będziemy pożyczać, ale przez to nie będzie wcale obciążony amerykański podatnik. Same oszczędności w latach 1940-1944 wynoszą w USA 120 miliardów dolarów.” Z całą wymową stara się Hopkins przekonać Amerykan, że pomoc dla innych narodów wcale nie prowadzi do degradacji poziomu życia w USA. Obok argumentów ma- terialnych wskazuje na nowy styl współpracy

międzynarodowej, jaki Waszyngton wprowadza. Dawniej inne narody cierpiały wskutek amery- kańskiej chciwości przemysłowej dolarowej dyploma- cji. „Dzisiaj damy i chcemy dać gwarancję od eksploatacji. Nie chcemy i nie możemy utrzy- mywać przemysłowego feudalizmu, a szczerze chcemy dać dobrobyt słabym narodom i podnieść ich z bied i anarchii, a w tym celu musimy mieć światową współpracę charakteru nie tylko prze- mysłowego, ale także socjalnego.” Po tych wnio- szych słowach, przechodząc do realizacji, zaczyna od tego, że WPE, War Production Board, będzie musiała przez kilka lat po wojnie dalej funkcyj- nować dla zarządzania surowcami i produkcją na potrzeby USA i dla obsłużenia świata. Charak- terystycznym jest, że nie uważa za potrzebne zmienić chociaż litery „W” (War) na litere „P” (Peace), bo przecież dopiero zmieniona nazwa byłaby właściwa dla zmienionej treści tego urzędu.

Zakończenie wywodów jego jest zgodnie z powszechnym zwyczajem bardzo patetyczne. Hop- kins z przykrością stwierdza, że niektóre uchodź- cze rządy dążą do nadmiernej samodzielności, podczas gdy tylko wspólny plan może przynieść wygranie wojny i pokoju.

Przy stole obrad Waszyngton chce widzieć liderów innych narodów, „dojrzałych i rozum- nych”. Dla dobrego urządzenia świata koniecz- nym warunkiem, jest wspólnota aspiracji i obaw. Współdziałanie winno być nie tylko intelektualne, ale także emocjonalne.

Przejrzystość biegu myśli Harry Hopkinsa jest tak wielka, że wszelkie komentarze są zby- teczne. mg.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI WYBÓR POEZJI 1925—1944 Cena 200 milsów Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero

SZKOLNA BIBLIOTECZKA NA WSCHODZIE	
pod redakcją Dra L. Kurdybachy	
Dotychczas ukazały się:	
Tom	
1.	ALEKSANDER FREDRO : Zemsta, oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 142
2.	JAN KOCHANOWSKI : Treny, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 41
3.	JULIAN NIEMCEWICZ : Powrót poła, oprac. Stanisław Kot. Str. 112
4.	JAN KOCHANOWSKI : Odpawa posłów greckich, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 43
5.	ZOFIA KOSSAK : Nieznany kraj, (w wyborze). Str. 221
6.	STEFAN ŻEROMSKI : Wierna rzeka, Str. 130
7.	HENRYK SIENKIEWICZ : W pustyni i w puszczy, Str. 326
8.	ELIZA ORZESZKOWA : Nad Niemnem, Str. 479
9.	MARIA RODZIEWICZÓWNA : Lato leśnych ludzi, Str. 177
10.	ADAM MICKIEWICZ : Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego, oprac. Stanisław Pigoń. Str. 82
11.	MARIA KONOPNICKA : O krasnoludkach i sierotce Marysi, Str. 195
12.	MELCHIOR WANKOWICZ : Bracia dalecy a bliscy, (wybór z książki „Na tropach Smętki”) Str. 123
13.	ADAM MICKIEWICZ : Pan Tadeusz, oprac. Manfred Kridl. Str. XVI i 324
14.	ALEKSANDER FREDRO : Śluby panieńskie, oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 115
15.	STANISŁAW WYSPIAŃSKI : Wesele, Str. 182
16.	WŁADYSŁAW ORKAN : W rozstokach, wstęp St. Pigoń. Str. 302
17.	JULIUSZ SŁOWACKI : Balladyna, oprac. Juliusz Kleiner. Str. 248
18.	ALOIZY FELIŃSKI : Barbara Radziwiłłówna, oprac. Marian Szykowski. Str. 97.
20.	STEFAN ŻEROMSKI : Popiół, t. I. Str. 384.
22.	ZYGMUNT KRASIŃSKI : Nieboska komedia, oprac. Juliusz Kleiner. Str. 106.
26.	ADAM MICKIEWICZ : Poezje, oprac. Józef Kallenbach. Str. 192.
25.	JULIUSZ SŁOWACKI : Utwory pomniejsze w wyborze, oprac. ks. Kamil Kantak. Str. 172
27.	JULIUSZ SŁOWACKI : Lilla Weneda, oprac. Juliusz Kleiner. Str. 184.
28.	BOLESŁAW PRUS : (Aleksander Głowacki): Faraon, t. I. Str. 352
31.	DANIEL DEFOE : Robinson Crusoe. Str. 103. Dalsze tomy w przygotowaniu.

POEZJA KARPACKA Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich

Wiersze:
B. Andrzejewskiego, J. Bielatowicza, M. He-
mara, A. Jamama, B. Kobrzyńskiego, J. La-
skowskiego, S. Miodożeńca, J. Nałęcz, K.
Nałęcz, T. Sowieckiego. — Pieśń Brygady.
Cena: 200 milsów
Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH NA SEZON LETNI poleca w wielkim wyborze mundury drelichowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bie- liznę trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH
(Właśc. A. Gurman)
TEL - A V I V, ul. ALLENBY 83

NOWOŚĆ ! ANATOL KRAKOWIECKI Bajki białe-czerwone Książka dla dzieci z rysunkami ZYGMUNTA KOWALEWSKIEGO. Cena: 250 milsów. Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima

NOWOŚĆ ! W najbliższych dniach ukaże się nakładem WYDAWNICTWA „W DRODZE” POWIEŚĆ HISTORYCZNA TEODORA PARNICKIEGO SREBRNE ORŁY T. I. Cena 300 milsów TOM DRUGI W DRUKU